

PANORAMA

LUBLIN 27 I 1974 Nr 2 (540)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Początki motoryzacji w Lublinie

AUTOMOBILEM DO ZAMBELLEGO

Ireneusz J. Kamiński

Codziennie w samo południe w lubelskiej kawiarni „Ratuszowa” pojawia się barczysty starszy pan. Nie ma włosów na głowie, ale ma proste plecy, przeżył 86 lat, lecz twierdzi, że to wszystko snem było. Wita się z rówieśnikami, którzy od lat odprawiają tu spokojne nabożeństwa nad przeszłością, wypija kawę, czasami zapali papierosa. Otoczony szacunkiem kolegów, napotyka objęte spojrzenia innych ludzi, którzy nie wiedzą, że mają okazję oglądać najpopularniejszego bodaj człowieka międzywojennego Lublina, Ludwika Zambellego.

W POŁOWIE ubiegłego wieku hrabia Skarbek przywiózł do Lwowa młodego Włocha, który poza ojczystym językiem biegle władał hiszpańskim, francuskim, niemieckim, szybko opanowując polski i żydowski, jako że przedstawiciele tej drugiej narodowości byli poważną siłą ekonomiczną w galicyjskim mieście. Młodzieniec okazał się cierpliwym nauczycielem hrabiowskich dzieci, zyskał uznanie także wśród innych rodów arystokratycznych, najdłużej edukując potomków Lanckorońskiego,

Dokończenie na str. 4-5

PROSzę o „Sztandar”. Kioskarzka podaje mi „Sztandar Młodych”. Protestuję z uśmiechem: chcę „Sztandar Ludu”. Kiedy dość długo szuka tytułu wśród innych dzienników, wskazuję palcem na czerwony wieniec. „Sztandar” jest z poprzedniego dnia, ale i tak biorę egzemplarz z przyjemnością. Bo rzecz ma się w Warszawie na Marszałkowskiej.

Kolportaż prasy lubelskiej w stolicy to dobry pomysł, jeden z wielu podczas dni „Panoramy Kultu-

PANORAMA

ralnej”. Byłoby zapewne przesadą twierdzić, że Lublin zawojował Warszawę, nie mniej obecność naszego miasta widzi tu się teraz na każdym kroku. Plakaty z dużym smakiem i rozmachem reklamują piękno naszego województwa, jego zabytki i atrakcje turystyczne. Na efekty zapewne nieco poczekamy, faktem jest jednak, że o Lubelszczyźnie dużo się teraz mówi i pisze.

Dokończenie na str. 2

Z mojej praktyki nauczycielskiej

„Przedwiośnie”

napisał

Mickiewicz...

Barbara Koś

GWOLI zawiści wszystkich tych polonistów, którym nie było dane rozwijać swego talentu, tudzież zainteresowań naukowych w szkolnictwie podstawowym lub ponad — muszę oświadczyć, że znalazłam się w grupie wybranych: udało mi się bezpośrednio po ukończeniu uniwersytetu rozpocząć najbardziej wzniosłą i zaszczytną pracę nauczycielską i to nie tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, ale w dużym, przemysłowym mieście. Czyli: nie buduję piekarni, nie przekładam papierków w biurze, nie wydaję kart zdrowia w przychodni, nie pełnię jednej z tysiąca innych wariantów powinności magistra filologii polskiej. Pracuję w swoim zawodzie, do którego przygotowywano mnie solidnie lat pięć.

Szkola jest wprawdzie tylko zasadnicza plus technikum (wieczorowe), ale żadna praca nie hańbi, a już nauczycielska... Młodzież wszędzie jest żądna wiedzy, pełna zapału do nauki... Pełna zapału i ja rozpoczynam swe szczytne posłannictwo.

— Tak się złożyło, że pani jest na razie jedyną polonistką — mówi na wstępie dyrektor — musi więc pani przeprowadzić egzaminy poprawkowe w zasadniczej i dodatkowy egzamin wstępny do technikum.

No tak, myślę i w duchu jestem przerażona. Studia się skończyły, teraz dopiero czeka mnie odpowiedzialna i twórcza praca. Przeglądam program: „Przedwiośnie”? — rany boskie, nie pamiętam, „Niemcy” — no, trochę lepiej, „Pamiętka z Celulozy” — biała plama. Ale jeszcze nie odwykłam od studenckich obowiązków: biegnę do

Dokończenie na str. 8



Danuta Złomska jest miłośniczką pięknej porcelany.
O kolekcjonerach piszemy na str. 8-9

Fot. Z. Jaśkiewicz

W którym żyjemy

WIDMO BEZROBOCIA W NRF

POUFNY raport Federalnego Urzędu Pracy w Norymberdze o zachodniemieckim rynku pracy w 1974 roku uderza w tony wyraźnie pesymistyczne. Eksperci przewidują, że w najlepszym wypadku będzie 335 tysięcy bezrobotnych, zaś w najgorszym — nawet milion. Załamanie się koniunktury i kryzys energetyczny — oto przytaczane powody recesji gospodarczej. Recesja ta dotknęła przede wszystkim przemysł: samochodowy, odlewnictwa żelaza i stali, produkcję kauczuku i azbestu, przemysł maszynowy oraz górnictwo rudy żelaznej.

Przemysł samochodowy narzeka na brak nabywców, chemia odczuwa coraz większy brak surowca. Te dwa filary, na których opierała się w ostatnich latach gospodarka niemiecka, okazały się zawodne.

Charakterystyczne, że przemysł budowlany ma portfel zamówień zaledwie na dwa miesiące, rzecz bez precedensu od 25 lat. Według danych Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Budowlanego we Frankfurcie w 1972 r. odeszło z branży 70 tysięcy zatrudnionych, a 30 tysięcy pobiera zasiłek dla bezrobotnych. Oblicza się, że po ciężkiej zimie w pierwszym kwartale 1974 r. liczba zatrudnionych spadnie o dalsze 200 tysięcy, z których tylko połowę mogą wchłonąć inne branże.

Bezrobocie zagraża nie tylko robotnikom. W samej tylko Bawarii we wrześniu ub. r. poszukiwało pracy 770 matematyków, inżynierów, chemików i innych specjalistów. Otrzymują oni comiesięczne zapomogi, fakt ale — jak podkreśla sama prasa zachodniemiecka — znacznie poważniejsza jest świadomość, że w społeczeństwie, gdzie wartość jednostki ocenia się miarą jej sukcesu, człowiek ponosi zawodową, a zatem i społeczną klęskę, okazując się niezdolnym do utrzymania się na powierzchni.

Groźba bezrobocia w NRF szczególnie rzutuje na sytuację robotników — cudzoziemców, którym grozi utrata pracy w pierwszej kolejności.

ŚMIERĆ PRZY PRACY

KAŻDEGO roku we Francji jeden spośród ośmiu pracowników pada ofiarą wypadku przy pracy. Co osiem sekund zostaje ranny jeden zatrudniony, co trzy kwadransy jeden ponosi śmierć. Wkroczenie w epokę społeczeństwa przemysłowego pociągnęło za sobą większe ofiary niż wojny. Niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę. Umrzeć w fabryce — to prawie to samo, co umrzeć śmiercią naturalną. Na kolumnach dzienników — tyle piszących o wypadkach samochodowych — można często ujrzeć i takie informacje: „Trzech robotników doznało nieszczęśliwego wypadku”, albo „Przypadkowa eksplozja w rafinerii w Ruen: dwie ofiary śmiertelne”.

W pewien wrześniowy dzień paryskimi Polami Elizejskimi przemaszzerował dziwny pochód. Wielu jego uczestników nie szło, lecz jechało na wózkach inwalidzkich. 25 tysięcy ofiar wypadków przy pracy nie pragnęło udać się pod Łuk Triumfalny, aby złożyć wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza, jak to czynią kombataneci. * cz zaprotestować przeciwko „społeczeństwu nie interesującemu się nimi otkąd nie mogą więcej już stać przy maszynach, które ich okaleczyły.”

WODA ZAMIAST BENZYNY ?

TO wcale nie jest utopia — twierdzi wraz ze swoimi współpracownikami dr Roger J. Schoepel z amerykańskiego uniwersytetu w Oklahoma. — Za dwa lata prototyp samochodów, napędzane wodą zamiast benzyną, pojawią się na drogach. W roku 1985 rozpocznie się, jak sądzą, ich produkcja seryjna.

Prawdę powiedziawszy, chodzi o silniki napędzane nie tyle wodą, ile wyodrębnionym z czystej, destylowanej wody — wodorem. Otrzymanie wodoru z wody nie jest trudne i właściwie całą aparaturę można zainstalować w każdym samochodzie. Bardziej opłacalne i łatwiejsze w użyciu jest jednak wyodrębnienie wodoru w specjalnych laboratoriach, a następnie sprzedawanie go automobilistom w butlach. Chodzi tu o wodór w stanie lotnym, wskutek czego butle musiałyby być stosunkowo duże i ciężkie. Istnieje jednak możliwość zastosowania wodoru płynnego, który już dzisiaj jest wyrabiany na skalę przemysłową i transportowany cysternami, jednak wodór ten musi być przechowywany i transportowany w bardzo niskiej temperaturze.

Dr Schoepel skonstruował aparat, który nazwał „czarną skrzynką”. Jego tajemnicy nie chce jednak zdradzić. Ową „czarną skrzynkę” dołącza się do zwykłego silnika samochodowego. Dzięki niej klasyczny samochód może być napędzany dwoma rodzajami paliwa, zależnie od woli kierowcy: benzyną lub lotnym wodorem. Wystarczy przekreślić odpowiednią gałkę. Zapłon wodoru następuje elektronicznie, a specjalne urządzenie wyrzuca odpowiednią dawkę wodoru, dzięki czemu świece silnika benzynowego przestają pracować.

Podobne badania prowadzi się na uniwersytecie w Miami oraz we francuskim centrum badań nuklearnych w Grenoble. Wydaje się, że wszystkie zasadnicze sprawy związane z pracą silnika na wodór zostały już rozwiązane. Naukowcy twierdzą, że energia zawarta w wodorze obok energii nuklearnej, geotermicznej czy nawet słonecznej w stosunkowo niedalekiej przyszłości zacznie służyć ludzkości na co dzień.

Samochody napędzane wodorem to również zaprzestanie zanieczyszczania atmosfery. Z wyjątkiem bowiem bardzo małych ilości tlenków azotu nie tworzą się żadne szkodliwe cząstki czy gazy, natomiast specjalne urządzenia mogą ograniczyć do minimum ilość owych tlenków azotu.

Wiadomość powyższą podajemy na odpowiedzialność prasy francuskiej. Powstaje jednak pytanie, co się będzie działo z zasobami wody na ziemi, jeżeli silnik na wodór zostanie zastosowany na całym świecie? Na to jeszcze nikt nie umie odpowiedzieć.

MIESZKANIE W CZASZCE

NIEKTÓRZY architekci zachodni tracą wiele czasu i pieniędzy na to, aby zadziwić ludzi niezwyklej pomysłami — co zresztą potem z reguły opłaca im się sówicie.

Do takich architektów należy Francuz Emile Aillaud. Wymyślił on dom mieszkalny o wysokości 22 metrów, wykonany ze stali i betonu, dokładnie w kształcie czaszki ludzkiej. Jest to właściwie olbrzymia willa jednorodzinna. Rozplanowanie wnętrza odpowiada mniej więcej funkcjom, spełnianym przez różne części głowy. Tak więc tuż pod dachem (w górnej części czaszki) znajduje się sala kinowa, pokoje brydżowy, telewizyjny i różnych gier. Tuż za uszami — pokoje radiowe. W tylnej części — mała strzelnica.

Czaszka wsparta jest na szyi. W miejscu kręgosłupa czynna jest winda, obok niej schody. W okolicach przelyku — jadalnia. Ten niezwykle obiekt ma być wybudowany w Nanterre. Jego 4-metrowej wysokości makieta, wykonana przez rzeźbiarza Francois Lalanne, została już wystawiona w jednej z galerii.

50 ROCZNICA ŚMIERCI LENINA



Włodzimierz Majakowski

* * *
(fragment)

Partia i Lenin —
 bliźnięta-bracia-
kogo bardziej
 matka-historia ceni?
Mówimy — Lenin,
 a w domyśle —
 partia,
mówimy — partia,
 a w domyśle —
 Lenin.

Przełożył Adam Ważyk

PANORAMA

Dokończenie ze str. 1

— Co to jest ta prażucha-psiocha? — dwukrotnie pyta mnie Heniek Gaworski, redaktor naczelny „Barw”. Niestety, sam nie znam tej potrawy, do czego muszę się przystąpić ze skrucą. A psiochę i inne dania z naszego regionu serwuje restauracja „Gastronomia” opanowana przez mistrzów naszej kuchni. Warszawiacy odwiedzają ją tłumnie, fama się rozniosła, że lublińscy wspaniale karmią. Byłem, potwierdzam i trochę żałuję, że o tej naszej kuchni mogę dobrze pisać dopiero wówczas, kiedy poznałem ją w Warszawie. Bo — przepraszam bardzo — gdzie ja mogę w Lublinie zamówić zupełną sidorską, rulańską i wołowe duszone z winem, kotlet

kasztelański czy rybę w cieście kminkowym?

Stop. Dość wybrzydzenia. Panorama jest w sumie dobrą imprezą, chociaż kosztowała sporo i to nie tylko sporo... energii. Warszawiacy zobaczą, że Polska nie kończy się na stolicy, że i tzw. prowincja może to i owo pokazać.

Więc Lublin przedstawił już część swojego folkloru podczas akademii z okazji rocznicy wyzwolenia Warszawy. Jeśli oceniać przyjęcie wykonawców na podstawie oklasków można by być w pełni zadowolonym. „Życie Warszawy” doceniło Rezhnina: „To wielopłaszczyznowe widowisko, zwłaszcza w pierwszej części, miało trafnie wyważone proporcje i umiejętnie dozowany nastrój patetyczności... Lubelszczyzna ma się czym pochwalić w kulturze, a widowisko inauguracyjne udowodniło, że ma tworzyć i twórców, zdolnych ten trudny i odpowiedzialny rodzaj programu oko-

licznościowego zrealizować w sposób godny i zarazem atrakcyjny”. A że to nie jest tylko laurka można się przekonać szybko, bo przecież to samo „Życie” nieco krytykuje drugą część programu.

Warszawa może jednak teraz bliżej poznać i Teatr im. Osterwy i Operetkę Lubelską. Naszą sztukę ludową i osiągnięcia plastyków. Filharmonię i Teatr „Gong 2”. Kabaret „Mikstura” i Teatr Jednego Aktora. Bilans Wydawnictwa Lubelskiego i ciekawe „Lubliniana” ze zbiorów Biblioteki im. Lopaćńskiego.

Kiedy ogląda się plan imprez, wystaw, koncertów, spotkań, okazuje się, że rzeczywistość nie mamy się czego wstydzić. Odważam się twierdzić, że my sami na co dzień nie w pełni umysłujemy sobie, iż leżymy się na polskiej mapie kulturalnej.

Ow dzień dzisiejszy naszego regionu wszechstronnie ukazuje też wystawa poświęcona osiągnięciom

gospodarczym Lubelszczyzny. Sądzę, że po Warszawie warto ją będzie zaprezentować również i w Lublinie, abyśmy lepiej wiedzieli, co posiadamy.

„Panoramę kulturalną” zainaugurował Lublin. Ten splendor spłynął na nasze miasto — pierwszą stolęcą Polski Ludowej. Na doświadczeniu Lublina będą się mogły uczyć inne województwa, które w ciągu najbliższych 19 miesięcy przedstawiają się Warszawie.

Nasuwa się tylko pytanie, czy stolica nie zmęczy się tą gigantyczną panoramą? Ostatecznie to nie jeden miesiąc, tylko dziewięćnaście...

Zobaczymy. W każdym razie i my, prowincjusze będziemy teraz częściej odwiedzać Warszawę, chociażby po to, aby przekonać się, jak radza sobie inni. Jeśli lepiej od nas — serdecznie im pogratulujemy. Bo Polska jest jedna. (MJ)

TA sprawa jest drażliwa, podobnie jak perypetie z konserwacją kaplicy zamkowej, czy koncepcją rozbudowy Nałęczowa. Poczatkowo przyjmowano projekt utworzenia w Kozłowiec wielkiego obiektu muzealno-rekreacyjnego z wiarą i pełną aprobatą. Cieszą się, że jeden z okazalych zabytków Lubelszczyzny nie tylko otworzy swe podwoje dla turystów, ale stanie się, być może, atrakcyjniejszy nawet od Łańcuta, gdyż rolę muzeum połączy się tutaj z szerokimi i frapującymi walorami rekreacyjnymi. Entuzjaści tej idei, o której głośno było już przed dwoma laty w prasie, skłonni byli nawet wybaczyć Ministerstwu Kultury jego minione błędy i wypaczenia, w których wyniku jedyny pałac w naszym województwie, nie zdewastowany i nie oddany na cele zupełnie z muzealnictwem nie związane, stał się niedostępny.

Na domiar złego zabytkowe, piękne pawilony, kordegardy i teatralnię Ministerstwo Kultury, nie mogąc utrzymać całości obiektu, przekazało nie zawsze formalnie przedziwnym użytkownikom — hucie szkła w Lubartowie i spółdzielni ogrodniczej na magazyn, Fundusze Ziemi, GS-owi na sklep, a nawet użytkownikom prywatnym. Szkoła podstawowa, dla której zupełnie nie nadawały się pałacowe oficyny, i dom dziecka, który rozprzeździł się w pawilonach, kordegardzie, pomieszczeniach mieszkalnych i folwarcznych, zamiast utrzymywać je w porządku i dbać o piękny park, dalej je dewastowały. Słowem przedziwny konglomerat przeznaczeń, użytkowników, z których każdy coś tam adaptował dla swoich potrzeb, nie troszcząc się o walory zabytkowe.

Niszczona piękna, barokowa rezydencja, wzniesiona przez marszałka wielkiego koronnego, Franciszka Bielińskiego, i przebudowana oraz przyozdobiona w latach 1879—1907 przez Konstantego Zamoyskiego. Wtedy to właśnie kozłowiecki pałac otrzymał nowe plafony z dekoracją sztukatorską wg projektów Jana Heuricha, kaplicę pałacową, zbudowaną na wzór wersalskiej, a potem teatralnię. Potrzeby reprezentacji połączono tu umiejętnie z potrzebami gospodarczymi.

Po wyzwoleniu, 4 listopada 1944 roku, aktem wydanym przez Resort Rolnictwa i Reform Rolnych, cały zespół pałacowo-parkowy z bezcennym starodrzewiem i okazami rzadkich krzewów, przydzielony został Resortowi Kultury i Sztuki PKWN. W pałacu zorganizowano jedno z pierwszych w oswojonej Polsce muzeów, które udostępniono zwiedzającym jeszcze w tym samym roku.

Od marca 1947 roku zaczyna się jednak wpuszczanie coraz to nowych współużytkowników. Wreszcie po kilku latach zamknięto placówkę, przekształcając ją na centralną składnicę (co złośliwi mówią: rupieciarnię) muzealników i rozdając hojnie zbiory kozłowieckie muzeom na wszystkich krańcach Polski.

Tyle historii w skrócie, gwoli przypomnienia sprawy, nad którą niejedynemu dziennikarz ubolewał i wypisywał miast inkaustem — XX-wiecznym długopisem długie tyrady. I wreszcie ta elektryzująca wiadomość: pałac kozłowiecki znowu będzie muzeum.

Dyrektor mgr Kazimierz Popiołek od chwili objęcia składnicy starał się o przywrócenie pałacowi jego roli z pierwszych lat po wyzwoleniu. Sam gromadził skrzętnie zbiory po Zamoyskich, urządzał sale pałacowe, wygospodarowując na ten cel pomieszczenia ze składnicowych magazynów, demonstrował przybywającym tu oficjalnym gościom, jak przyjemnie można w takiej sali spędzić wieczór przy świecach. On też opracował niejedynemu projekt zagospodarowania zespołu pałacowo-parkowego w Kozłowiec, rzucając ideę połączenia funkcji muzealnych z wypoczynkowo-rekreacyjnymi. Piękne otoczenie parku ze stawami, bliskość kozłowieckich lasów stwarzają przecież ku temu idealne warunki. Rzecznikiem tej idei był też wojewódzki konserwator zabytków, mgr Mieczysław Kurzątkowski. Wspólnie, po wielu staraniach, doprowadzili do podjęcia przez Prezydium WRN w Lublinie uchwały z dnia 21 marca 1972 r., do której załącznik stanowiła koncepcja zagospodarowania

zespołu, obejmująca wszystkie zasadnicze problemy.

Na wiosnę ub. roku pisałam o tej sprawie, entuzjastycznie się uchwala, podobnie jak jej twórcy i wielu zainteresowanych. Była tam bowiem mowa o konkretnych zobowiązaniach odpowiednich władz do wykwaterowania użytkowników magazynów, do wybudowania szkoły podstawowej w Kozłowiec i znalezieniu dla Państwowego Domu Dziecka zastępczych pomieszczeń, zobligowaniu Woj. Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki do opracowania programu zagospodarowania turystyczno-wy-

(z wyjątkiem zatłoczonego co niedzielę i nastawionego raczej na spokojny odpoczynek Nałęczowa); kozłowiecki ośrodek byłby dla nich wielkim dobrodziejstwem.

Od uchwały PWRN minęło półtora roku. Wszyscy się już denerwowali, co więksi pesymiści machnęli ręką i orzekli, że jest to jeszcze jeden projekt, który wpisze się do rejestru pięknych, ale nie zrealizowanych. 24 października 1973 zebrały się jednak trzy zainteresowane strony w osobach: wiceministra Kultury i Sztuki Józefa Fajkowskiego, dyrektora departamentu GKKFiT Ro-

konać, że potrzebny jest hotel z prawdziwego zdarzenia. Zmieniły się też koncepcje budowy szkoły: zamiast w Kozłowiec szkoła zbiorczą powstanie w Kamionce, przy której zbudowany też będzie dom dziecka. Na razie więc nie ma mowy o pełnym rozluźnieniu rezydencji kozłowieckiej. Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Lubartowie, które z własnych funduszy zaczęło doprowadzać do porządku park, przerwało roboty. Za to wykwaterowano kompromitujących zespół pałacowy użytkowników — magazyny huty, Centrali Ogrodniczej (sklep tymczasowo utrzymano, ale WZGS zadeklarował gotowość rozpoczęcia w każdej chwili budowy pawilonu spożywczego). Przygotowuje się też dokumentację zalewu.

Jednak pomimo wysokich protekcji oraz dobrej woli wielu zainteresowanych wszystko idzie opornie z wyjątkiem gromadzenia zbiorów. Wróciły ekspozyty kozłowieckie z muzeów w Łańcutie i Opolu, dyrektor Zarządu Muzeów z Min. Kultury, Bogdan Rymaszewski, zadeklarował gotowość oddania swego gabinetu, wypożyczonego z Kozłówki. Nawet osoby prywatne przekazują pamiątki po Zamoyskich. Większość kłopotów z Kozłówką i realizacja porozumienia spada jednak na barki dyr. Popiołka. To jego energii należy zawdzięczać owe 130 przedmiotów ostatnio zwiezionych z całej Polski, a niegdyś wywiezionych z Kozłówki, to on boryka się z remontami. Na razie trzeba ciągle w pałacu przestawiać meble, bo piece węglowe zamienia się na elektryczne. Należy też doprowadzić do porządku dach kaplicy (która w lecie udostępniona była zwiedzającym, a teraz można jej piękno podziwiać tylko przez kratę), a potem zabrać się do renowacji bezcennych sztukaterii. Trzeba też restaurować fronton pałacu. Dyr. Popiołek pisze, żeżdzi, ponagla. Przekonał się już, że od pomysłu do realizacji droga długa. Projekty, założenia techniczno-ekonomiczne, znalezienie wykonawców, to kwestia czasu. Kozłówka więc w części będzie mogła być udostępniona zwiedzającym dopiero za jakieś dwa lata, ale piękny obraz całego ośrodka muzealno-rekreacyjnego, jaki kreśli koncepcja z 1972 roku, to w najlepszym razie rok 1979.

Generalny konserwator, prof. Alfred Majewski, powiedział na jednej z narad: zabytki powinny być wykorzystywane zgodnie z ich wartością zabytkową. Osobiście uważam to za niezwykle cenne stwierdzenie, choć spóźnione co najmniej o lat 20, bo wiele zabytkowych obiektów uległo już dewastacji przez nieodpowiednich użytkowników, których tam lokowano. Konserwator wojewódzki, mgr Kurzątkowski, jest jednak pełen optymizmu. To zielone światło dla jego działalności. Dyr. Rymaszewski stwierdził, że nasza Kozłówka będzie pierwszym tego typu obiektem w Polsce.

— A więc — mówi mgr Kurzątkowski — naszą ambicją musi być, by nie był to obiekt jedyny, zważywszy ubożę Lubelszczyzny w ośrodku rekreacyjnym. Wskazał 37 obiektów, nadających się na te cele. Byłyby one połączone z hotelami, parkami, pokojami klubowymi, restauracjami, urządzeniami zabawowymi dla dzieci i sportowymi dla dorosłych. Na razie są wykorzystane na domy dziecka, szkoły rolnicze. Przerabiane, niewygodne dla umieszczonych tam użytkowników, nie spełniały swej roli, nie służyły ogólnemu użytkownikowi, niszczały. Np. w Czerniżkach w pałacu mieści się dom dziecka. Obiekt ten jest w nieznacznej tylko części wykorzystany. W Lubuńkach k. Zamościa, również mocno zdewastowanych, mieści się szkoła podstawowa. I znowu ten piękny niegdyś obiekt, pomimo dokonanych tam szkodyliwych z punktu widzenia konserwatorskiego adaptacji, nie nadaje się na szkołę, choćby z uwagi na dużą odległość od Zamościa (8 km). Więc budując nowe szkoły czy domy dziecka, trzeba do nich przemieszczać z pałaców, oddając zabytki całemu społeczeństwu. Niech cieszą wzrok, niech służą wypoczynkowi i rozwojowi turystyki. Oby tylko droga od koncepcji, uchwał i porozumień do realizacji nie była zbyt długa. Bo choć ci, co przyjdą po nas, będą mogli korzystać z naszej myśli i dokonań, my sami chcielibyśmy również zbierać owoce naszych wysiłków.

S Z A N S A



Fot. Z. Zugał

K O Z Ł Ó W K I

Halina Chabros

poczynkowego ośrodka w terminie do 30 marca 1972 r., zobowiązania dla PPRN w Lubartowie oraz WZGS do wybudowania w Kozłowiec pawilonu handlowego.

Zafascynowana koncepcją, chwaliłam projekt przeznaczenia głównego budynku pałacu na muzeum wnętrz (mebli, rzeźb, dzieł sztuki, tkanin i ekspozycję artystyczną oraz historyczną), udostępnienia zwiedzającym pięknej kaplicy, urządzenie w teatralni salonu wystaw czasowych (np. malarstwa, bursztynów itp.), okolicznościowych i oświatowych oraz pomysł urządzenia na parterze teatralni sali projekcyjnej, konferencyjnej, kinowej, teatralnej.

W oficynie południowej powstałby hotel na około 60 osób z pokojami o wysokim standardzie, z barem, salką konferencyjną, świetlicą i punktem informacyjny turystyczny. Restauracja i kawiarnia z parkingiem mieściłaby się w dawnym magazynie, odizolowanym od pozostałych budynków zespołu.

Naturalnym terenem wypoczynku, integralnie związanym z pałacem, byłby zabytkowy park, któremu przywróciłoby się szereg ciągów spacerowych; do tego iluminacja pewnych partii pałacu oraz imprezy światło-dźwięk. Z lasu pałacowego, którego część (dawną bażaniarnię) Dyrekcja Lasów zgadza się odstąpić na rzecz ośrodka, dochodziłoby się terenami spacerowymi wokół stawów i przez wieś Kozłówka aż do lasów kozłowieckich. Można by też urządzić tu tereny sportowe dla dorosłych, zabawowe dla dzieci, wydzielić miejsca na pola campingowe, nawet zakupić kilka koni i powozów, co stanowiłoby dodatkową atrakcję dla turystów. Słowem piękne i pożyteczne połączenie z rekreacją. Nie tak dawno narodził się nawet projekt urządzenia zalewu, co przy połączeniu stawów jest sprawą prostą. Nad zalewem byłaby plaża, sprzęt do sportów wodnych, pola namiotowe, sezonowe pawilony gastronomiczne i spożywcze, natryski, umywalnie. Mieszkańcy Lublina mają tak mało terenów rekreacyjnych

mana Garbaczewskiego i ówczesnego z-cy przewodniczącego PWRN Zdzisława Pasternaka, by podpisać porozumienie o zagospodarowaniu zespołu pałacowo-parkowego i terenów przyległych na ośrodek muzealno-turystyczny. Dokonano podziału zobowiązań: Ministerstwo Kultury i Sztuki zagospodaruje dla potrzeb muzealnych pałac, kaplicę, teatralnię, pomieszczenia pracowni konserwatorskich, administracji i mieszkania dla pracowników oraz park; GKKFiT przydzieli Woj. Komitetowi Kultury Fizycznej i Turystyki w Lublinie (kto to podejmie po reorganizacji sportu?) środki finansowe na pokrycie kosztu adaptacji obiektów przewidzianych dla potrzeb turystyczno-wypoczynkowych oraz budowę urządzeń niezbędnych do eksploatacji akwenu; budowę samego zalewu bierze na siebie Prezydium WRN, które przeprowadzi też modernizację istniejących dróg i dojazdów, wyznaczy nowych użytkowników obiektów i terenów przejętych od Państwowego Domu Dziecka i szkoły oraz innych instytucji, wreszcie spowoduje udostępnienie dla ruchu turystyczno-wypoczynkowego przyległych kompleksów leśnych.

W ciągu trzech miesięcy wyznaczony przez PWRN inwestor zastępczy ma otrzymać od wszystkich trzech uczestników procesu inwestycyjnego programy użytkowania oraz dane dotyczące sposobu finansowania i terminów realizacji. Programy te po uzgodnieniu wzajemnych powiązań zostaną zatwierdzone i będą podstawą do opracowania założeń techniczno-ekonomicznych. Inwestycjami wspólnymi będą objęte: stacja transformatorowa wraz z liniami napowietrznymi wysokiego i niskiego napięcia, ujęcie wody, hydrofornia, oczyszczalnia ścieków itp.

Porozumienie podpisano półtora roku po podjęciu uchwały. GKKFiT potrzebował rok, by zdecydować się wreszcie na zrezygnowanie ze swoich warunków budowy hotelu o bardzo niskim standardzie, tzw. szkolnym lub sezonowym, i dał się prze-

AUTOMOBILEM DO ZAMBELLEGO

Dokończenie ze str. 1

którzy w liczbie pięciu skutecznie maltretowali wychowawcę. Towarzyski Włoch szybko poszerzył kontakty międzyludzkie, żeniąc się po pewnym czasie z lwowiąnką Płatkowską. Związek ten przyniósł światu dziecko płci męskiej, ochrzczone Ludwikiem, które miało odziedziczyć po Zambellim — seniorze wzrost słuszny i regularne rysy twarzy. Syn był podobny do ojca, a ten nie był podobny do Włocha, jako że i włosy miał szatynowate. Genealogia Ludwika Zambellego miała zresztą przynieść następstwa bardziej złożone. Konsekwentnie zmierzając do ulokowania się w wyższych sferach, nie zetracił zdolności realnej oceny ziemiańsko-hrabiowskich światów. Ceniąc hierarchie, największym szacunkiem darzył fachowość, na której dopiero wznosił własny porządek świata. Z natury praktyczny, lubił ludzi z wyobraźnią i inteligencją. Oto konsekwencje mieszania krwi północnej z południową, słowiańską z romańską. Młodość miał o tyle niezwykłą, że mógł podglądać cesarza Franciszka Józefa podczas spacerów monarchy w ogrodzie pałacu Lanckorońskiego, otoczonym palisadą metalowych sztachet. Dziwne, ale wszyscy poddani wiekowego władcy pamiętają go dobrze, darząc swobodną sympatią, jeden Szwajcar gawędził o „dziadydzy”. Poza tym Ludwik Zambelli skończył lwowską szkołę przemysłową imienia Adama Mickiewicza, który patronował wszystkim zjawiskom i instytucjom ubiegłego wieku. I wtedy w życie dwudziestoczworoletniego człowieka wkroczyła po raz pierwszy historia, przybrana w mundur oficera zmechanizowanej straży pożarnej, a właściwie sposobiona się do założenia takiego uniformu.

Otóż na początku naszego wieku lwowscy strażacy posprzedawali konie, przesiadając się na samochody. Jak to zwykle bywa przy takich okazjach, pojawiły się trudności wzrostu: samochody były, kierowców i mechaników nie było. Więc senior Zambelli posłał syna do Wiednia, do szkoły przemysłowej ze specjalnością samochodową, po której skończeniu młody Ludwik miał objąć kierownicze stanowisko w lwowskiej straży. Motoryzacja zaczęła stymulować rozwój społeczeństw i poszczególnych jednostek, ale to jeszcze nie było to...

Wiedeń 1911 roku krył w swoich secesyjnych kamienicach około 63 tysięcy Pałaków, działało polityczne „Kolo Polskie”, w parlamencie przemawiał Daszyński. „Perfect znal niemiecki — wspomina Zambelli — dobrze go na galerii słyszeliśmy”. Przyszły znawca automobilu uczył się w szkole, w bilard grał w kawiarni przy Renveek 5, prowadzonej przez Czecha, lecz polskiej w nastroju, do kościoła chodził no sasiedzku, tam, gdzie kazano po polsku, a pauncie wkładał podczas zwiedzania cesarskiego Burgu, ucześniejanego od czasu do czasu poddanym monarchii austro-węgierskiej. Był zadowolony z życia, natura, rodzina i los troszczyły się o późniejszego uczestnika rajdu Monte Carlo i właściciela wilejszy „Wery”. Z tego właściciela zapędzał się czasami na tańce do stowarzyszenia Ukraińców, mimo że należał do zamężnej „Strzechy Polskiej”. Tu i tam rozmawiano po polsku.

Skończył szkołę w 1913 roku, poznając dokładnie anatomię i możliwości pojazdu, który miał zawożować świat, a w owych czasach rzucał jeszcze wieśniaków na kolana. Po drogach Europy krążyły lśniące osobowe „Austro-Daimlery” i ciężarowe „Bisingi”, zapatrzone już w silniki dieslowskie: dwu- i czterotaktowe, które od dzisiejszych wozów różniły się tylko brakiem świecy, wyręczanej przez mechaniczny przerywacz, działający na zasadzie krzemienia i huby. Budy miały składane, koła na pełnych gumach, karoserie pocieszne, to fakt. Wyciągały do 70 kilometrów na godzinę. Ale konstrukcja silnika prawie nie odbiegała od współczesnych samochodów, pomijając ów kłopotliwy „abreisintung” Moc takiego „Daimlera” sięgała do 50 koni, więc nie ma powodu do śmiechu. No, zrywane to one nie były, nie. „Włączył pan nie-wszy bieg, to się trochę posunął. Zambellował pan motorem, to drugi pan mógł wrzucić”.

Do wojska wcielili Zambellego nagle, już w tym roku z trzynastką na koncu, roku niepokojem przetrkanym. Posłali do Festung Krakau, ale przed tym na kurs wojskowo-samochodowy. „Wojna — nie wojna, do Lwowa bym chyba nie wrócił, nad Dunajem dobrze mi się powodziło, Polaków tu szanowano” Do 1916 roku służył Zambelli w Krakowie, dowodząc brygadą remontowo-samochodową przy ul. Floriańskiej, często przeciw transportując hrabięgo generała Szeptyckiego do Zakopanego, gdzie wysoki i utytułowany, elegancki i szpakowaty mężczyzna brylował w towarzystwie.

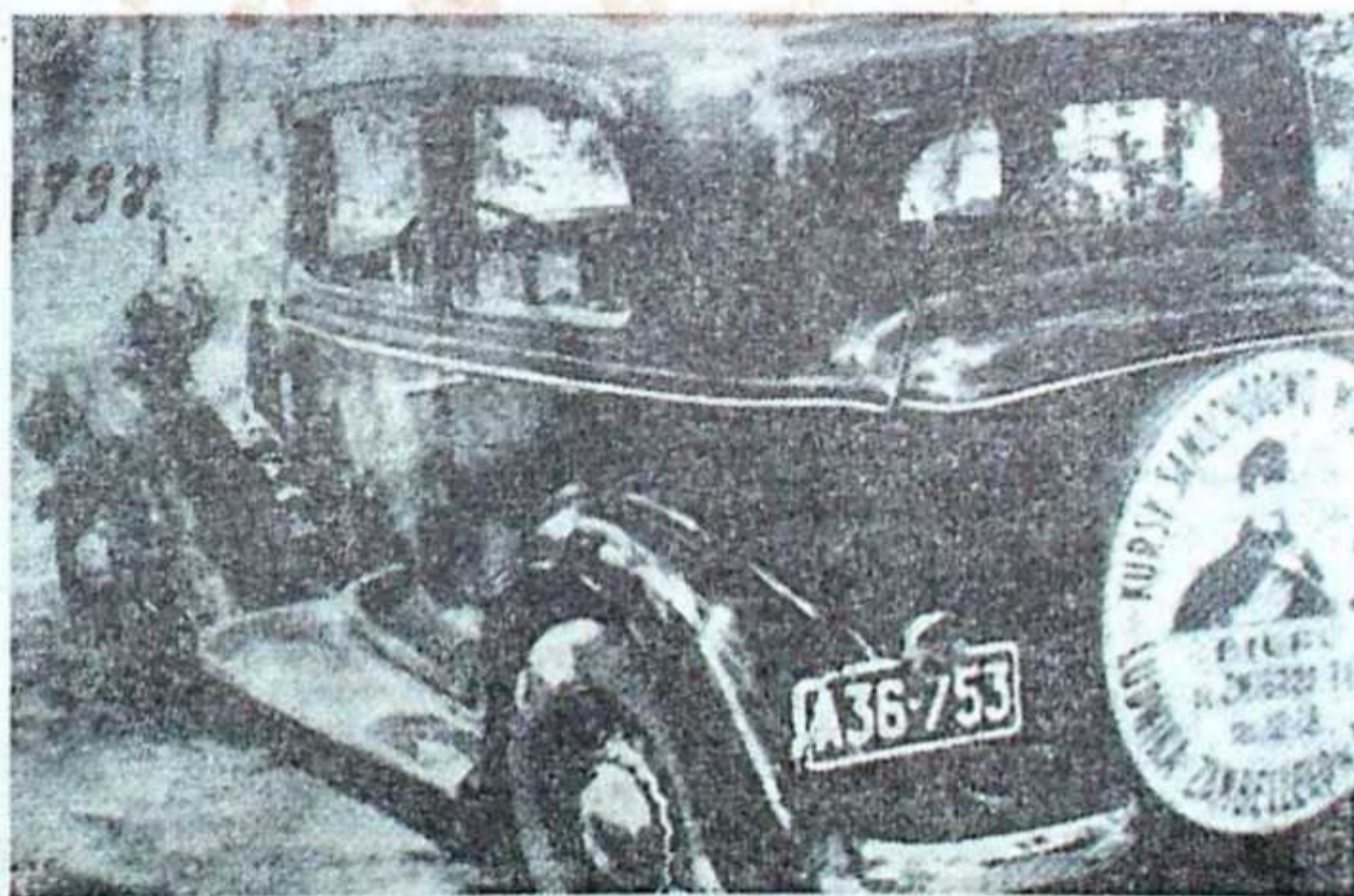
„Ludwiku — oznajmił pewnego dnia generał — jutro jedziemy do Lublina, tam nam będzie lepiej. — Do Lublina?! Wszędzie byłem, w Budapeszcie byłem, w Pradze, w Grazu, w Linzu byłem, ale w Rosji jeszcze nie byłem” — zauważył z lekkim Zambelli.

W Lublinie pokazali się na Wszystkich Świętych 1916 roku. Zambelli jechał na czele karawany złożonej z 12 ciężarówek, 4 wozów osobowych, 6 motocykli, która trzęsła się i zgrzytała na kocich łbach ulicy Zamajskiej. W pierwszych dniach pobytu w mieście zdobytym przez Austriaków Ludwik Zambelli o mało nie zlikwidował renomowanej fabryki wag Hessa, przymierzając się do zabrania zakładu w hal produkcyjnych, potrzebnych wojsku. Ostatecznie dyrektor Węgrzecki wskazał mu całkiem przyzwyczajony do monopolu spirytusowym na Bronowicach, w którym lwowianin rozłożył się wraz z dywizjo-

lego poza koszary. Ich niefachowe uwagi i decyzje doprowadzały do białej gorączki, a po za tym zbyt często wtrącały się nie do swoich spraw. Pierwsze kontakty Zambellego z nowymi władzami były zresztą dramatyczne. Jeszcze w 1918 roku na Bronowicach pojawił się nie byle kto, bo rząd lubelski w pełnym bodaj składzie, domagając się samochodów na drogę do Warszawy. „Był Daszyński, Moraczewski, Witos i Thugutt. Daszyński inteligent, więc spokojnie zachowywał się, ale Thugutt wyjął brzoń i powiedział, że jak nie dam automobili, to tak sobie porozma-



Ludwik Zambelli w latach dwudziestych



„Polski Fiat 508” z reklamą szkoły Zambellego

nem samochodowym CK Armii: odnalezionej w rynkach (!) spirytus znie-wolił do drzemki niejednego żołnierza. Z najbardziej dziwnych snów wcale nie wynikało, że Zambelli trafił do miasta swego przeznaczenia.

Przez następne dwa lata szef dywizjonu rzetelnie remontował samochody frontowe. Bywało, że na Bronowice trafiały kilkakrotnie te same egzemplarze, albowiem mądre polskie drogi dokładnie niszczyły silniki wozów, zmuszanych terenem do szybkości 20-30 kilometrów. Niepomierne szybkości rosta sława Zambellego jako wybitnego fachmiana od samochodów: w Lublinie nie miał konkurenta, czyli był świętym. W początkowym okresie kariery światowej samochodu każdy człowiek, potrzebujący porozumieć się z nowym bogiem, zyskiwał atrybuty supermana.

W 1918 roku Austriacy zaczęli niechęć z Lublina, więc Zambelli, b-stry kresowy Polak, wydał rozkaz: zamknąć bramę warsztatów zając opony z osobowych, ze wszystkich wozów wymontować akumulatory! Tym sposobem wychowanek państwowej szkoły wiedeńskiej uratował dla Polski, o której powstańcy mówili się coraz częściej, snory i bardzo wówczas wartościowy małałek, za co mu później podziękowano specjalnym listem.

Zambelli nie nosił niekompetencji i głupoty. A w tym czasie do dywizjonu zaczęli napływać byli oficerowie carskiej armii, chcący służyć prowadzanej ojczyźnie. I oni właśnie — pośrednio — przemieśli uwagę Zambel-

nie silnej konkurencji w postaci dwóch szkół samochodowych, co przekreśliło pierwotny zamiar zamieszkania się w rodzinnym mieście. Tymczasem w Lublinie, jeszcze w okresie pobytu w wojsku, do Zambellego zaczęli zgłaszać się przedstawiciele elity społecznej, prosząc mistrza o naukę kierowania samochodem. Przelatując Krakowskim Przedmieściem w dymie spalin i ryku silników, przyodziały w stosowny kaszkiet, dzielnie i strasznie wyglądający w samochodowych okularach, Zambelli był najlepszą reklamą motocyzacji w Lublinie. Od tego momentu właściciel pedalowego „Ford” rozpoczął działalność, która, gdy zdjął z niej frymuśny i sympatycznie zabawy kostium rzeczy starej, ukazuje swój poważny sens społeczno-gospodarczy.

Początkowo w szkole funkcjonował tylko jeden samochód, właśnie ów „Ford”, wyposażony w pedalowy, nożny mechanizm zmiany biegów. Po roku dwa pedałowce krążyły po ulicach Lublina, zatłoczonych jeszcze dorożkami i innymi pojazdami konnymi. Te unikatowe techniczne — „Daimler”, „Pueh”, „Renault” — posiadały biegi normalne, ręczne — osiągały 80 kilometrów na godzinę, ale były bardzo wywrotne. Spalały 12-14 litrów benzyny na 100 km.

W skład przedsiębiorstwa wchodziła także stacja obsługi, która po czterech latach zatrudniała dziesięciu ludzi. Nauką jazdy poza Zambellim zajmował się jeszcze jeden instruktor, a w późniejszym czasie kilku renomowanych kierowców. Interes rozkręcał się imponująco, choć początki były skromne: przeciętnie 20 uczniów zgłaszało się na trzymiesięczny turnus szkoleniowy. W 1939 roku Zambelli dysponował 20 bokсами garażowymi, które miesięcznie przynosiły 2000 złotych, dobrze wyposażoną stacją obsługi, znaną z uczciwych remontów i konserwacji wozów, pięcioma samochodami szkoleniowymi, licznym i fachowym personelem, rozległymi kontaktami we wszystkich bodaj sferach społecznych. Jako pierwszy w Lublinie posiadał też Zambelli koncesję na eksploatację transportowej ciężarówki (od 1922 r.).

Nauka jazdy odbywała się zazwyczaj na spokojnej ulicy Krochmalnej, gdzie trenowano ruszanie, zatrzymywanie i cofanie samochodu. Pojemnik delikwent ruszał na Krakowskie Przedmieście, starając się popisać przed różnopoziomą gawiedzią, która pilnie śledziła poczynania szofera. Wypadków nie było, choć obowiązek posiadania prawa jazdy wprowadzono dopiero w 1923 roku. O czym tu jednak mowa, jeśli w całym Lublinie warczało zaledwie dziesięć prywatnych samochodów, a pierwsze taksówki, oczekujące klientów na postoju przy restauracji „Europa”, wyjechały na zarobek dopiero w 1925 roku. Nieliczne autobusy nie panowały się na jezdniach, w latach dwudziestych kierowcy mieli „życie Romana”.

W roku 1925 Zambelli wycofał stare „Fordy” i zakupił w warszawskiej firmie „ABC” dwa nieco przechodzone „Berliety” — po 4 tysiące sztuka. Dobre to były wozy, służyły szkole dziesięć lat, a zastąpione zostały przez „Polskie Fiaty 508”, wycenione po 5 tysięcy. „Miały po dwa koła zapasowe, a ogumienie ze „Stomilu”, najlepsze”.

Benzyny nie brakowało, działały już wtedy w Lublinie różne przedsiębiorstwa, zajmujące się handlem paliwem i częściami zamiennymi. Zambelli był wiernym klientem sklepu i stacji benzynowej Aleksandra Rosse, czynnych po obu stronach ul. 3 Maja, na jej początku. Pod obecnym kioskiem z lodami włoskimi i rurkami z kremem znajduje się jeszcze stary zbiornik na benzynę, ostatni ślad wziętego niedługo interesu, którego właściciel chętnie udzielał kredytu stałym klientom. Miesięczny „szczoł” Zambellego za części zamienne, zawsze dostępne, oleje, smary i benzynę osiągał i 3 tysiące złotych... Druga stacja, „Nobla” rozłożyła się na tzw. klinie, państwowy „Polmin” handlował benzyną na środku Placu Bernardyńskiego (dziś „Wolności”), towar czerpiąc z Bolesławia via Drobobycz, a przed samą wojną zjawia się w Lublinie ekspozytura żydowskich „Karpas”, zlokalizowana na Rogatec Warszawskiej, gdzie obecnie pracuje CPN. Współcześni kierowcy i właściciele samochodów mają prawo wyobrazić sobie tamte czasy pod postacią rajdu utraconego, który nie znał takich poleć, jak „ograniczenie zużycia paliwa” czy „kolejki po benzynę”. Ale też pociągi, maszyny w fabrykach poruszała para, a liczba lubelskich taksówek równała się początkowo sześciu wózek, obsługującym trasę hotel-dworzec kolejowy.

Wśród uczniów Zambellego były także osoby utytułowane, albowiem już na po-

SAMOBÓJSTWO

PŁCI

Georg Gilder

DO naszych uszu dociera w dobie dzisiejszej dziwne unisono: z rejestrów rewolucji rozlega się postulat „wyzwolenia seksualnego”. Niewiele wspólnego mają ze sobą owi uskrzydleni podrywawcy, promowani masażysty, psychoanalizyści uwalniający od wszelkich bolączek, seksuolodzy, pornografowie, narkomani, kapłani popu, zboczeńcy i ludzie holdujący filozofii playboy'ów — ale wszyscy zwiastują w najpiękniejszej harmonii, że rozpoczęła się nowa epoka wolności seksualnej.

W różnicach między płciami tkwi chyba najważniejsza predyspozycja naszego życia. To właśnie w obcowaniu z ludźmi, których znamy najlepiej, różnice seksualne mają determinujące znaczenie zawsze wtedy, kiedy dochodzimy do centralnego punktu krzyżowania się naszych wspólnych doświadczeń. Mogą to być sam stosunek cielesny, małżeństwo w ogóle, ciąża, poród, karmienie dziecka. Uczucia się wówczas potęgują, zmienia się nasze życie i umacnia się wspólnota, stosownie do naszych wyobrażeń i zwyczajów.

W większości seksualnie najważniejszych wydarzeń życia mężczyzna odgrywa rolę raczej trywialną, wręcz zbędną. Wprawdzie spółkowanie jest bez niego nie do pomyślenia, ale już sztuczne zapładnianie może ograniczyć jego udział do szczątkowego. Jeśli abstrahować od tej roli, mężczyzna jest całkowicie zbędny. To kobieta jest zapładniająca, jest brzemienna, ona karmi nowo narodzone dziecko. W sensie seksualnym mężczyzna spełnia rolę podrzędną. Znacznie mniejsza część jego ciała budzi bezpośrednio pożądanie płciowe, znacznie mniejsza częśćka jego życia odnajduje sens w aktach specyficznie seksualnych. Rola mężczyzny w społeczeństwie niezbędnym, a psychologicznie centralnym wydarzeniu, jakim jest macierzyństwo, jest tylko drugorzędna. Nawet rola ojca, której wartość rzekomo dorównuje roli matki, wywodzi się jedynie z małżeńskich i innych układów kontraktualnych.

Kobieta rozwija się inaczej. Życie seksualne dziewczyny najczęściej rozwija się w linii nieprzerwanej od etapu skrajnej zależności i utożsamiania się z matką przez wszystkie fazy rosnącej autonomii. Ponadto seksualizm kobiety nie ogranicza się do kilku odpowiednio krótkich „występów”; na jej płęć wskazuje i ją demonstruje menstruacja, rozwinętą rolę płciową sygnalizują piersi i macica. Nawet jeśli kobieta nie wydaje na świat dziecka, wciąż musi pamiętać o tej potencjalnej możliwości i o tym, że posiada zdolność zapewnienia ciągłości rodziny, ba — gatunku ludzkiego. Ona jedna może sprawić, by seks nabrał znaczenia nie budzącego wątpliwości, by jego efekt ucieleśnił się realnie.



Fot. L. Leo

We wszelkich umowach społecznych zdawano sobie jasno sprawę z tego, jak wysoką cenę trzeba zapłacić za to, aby mężczyznę nakłonić do odpowiedzialności za rodzinę. Rozpowszechniona dzi-

ślad szeroko praktyka krótkich podbojów seksualnych i wypraw na podryw odpowiada przecież ściśle liczącym miliony lat obyczajom mężczyzny jako myśliwego. Zawsze już tak się działo, że kobiety musiały wyzyskać cały arsenał powabu seksualnego, aby nakłonić mężczyzn do założenia rodziny, jej utrzymania i do utożsamiania się z tą rodziną. Równoległe do tego rozwijał się społeczny zwyczaj, który małżeństwo obdarzał wszelkimi błogosławieństwami religij i prawa. Nie dlatego głównie, aby rozniecać uczucia intymności i koleżeństwa między małżonkami. O nie, wpływało to z potrzeby stworzenia najpierw cywilizacji w ogóle, aby mogły krzewić się w niej i rozwijać miłość, życie intymne i koleżeństwo.

Każde społeczeństwo ma trwałe nawyki seksualne, na których opierają się gospodarka, polityka i kultura. Jeśli nawet sprawą główną jest małżeństwo i rodzina, to niezależnie od tego niemal każdy kontakt między poszczególnymi ludźmi zawiera określony potencjał seksualny. W zależności od tego, jaka jest jego struktura, oddziałuje on głęboko na produktywność i porządek w społeczeństwie. Od niego zależy, czy energie społeczne będą trzymane w ryzach i marnotrawione, czy też będą wzbogacane i wykorzystywane do celów praktycznych. Od niego zależy ponadto, czy społeczeństwo kształtować się będzie według modelu odpowiednio grupujących się obywateli, czy też ulegnie atomizacji, rozbięciu na szereg jednostek, nie mających wzajemnego odniesienia, które gonąc będą za seksem i osobistą egzystencją, pojmowanymi w sposób bardzo wąski, sprzeczny z interesem społeczeństwa.

W każdym miejscu pracy, w każdej klasie szkolnej, w każdym sklepie, biurze czy fabryce występuje ten potajemny system odniesienia. Pracujący

Gdy ratusz zamojski



Fot. A. Polakowski

PODOBNI jak ludzie, budynki również przeżywają swoje wielkie dramaty. Im dłużej istnieją, tym częściej jest po temu okazja. Zdarzyło się to także zamojskiemu ratuszowi.

W 1591 r. władze miejskie zakupiły od kupców ormiańskich cztery kamienice w rynku wielkim. Na placu po ich zburzeniu zaczęto budowę wg. projektu Bernarda Moranda. Pierwotnie ratusz był jednopiętrowy z wieżą nakrytą dachem namiotowym z cylindrycznymi wieżyczkami na narożnikach. Dopiero w połowie XVII w. został podwyższony o jedno piętro i wyodrębniony z północnej pierzei rynku uliczką od strony zachodniej. Podobnie jak w sąsiednich domach, z trzech stron otaczały go podcienia. Dach był niewidoczny za wysokim grzebieniem attyki. Smukła wieża o wysokości 50 m nadawała całej sylwetce znamię lekkości i wdzięku. Zwłaszcza attyka w postaci urn kamiennych i czterech małych wieżyczek stanowiła wyjątkowo korzystne rozwiązanie architektoniczne. Kopyły tych wieżyczek były zakończone trzema wólciami Zamojskich. Ten sam motyw z herbu właścicieli miasta powtórzony został jeszcze raz na wieży przy kopule. Nad nią, z metalowej błyszczącej galki, „wyrastała” jeszcze chorągiewka z wyciętą w środku zagadkową cyfrą 65. Można się tylko domyślać, że oznaczała datę ostatecznego zakończenia przebudowy — rok 1665.

W XVIII w. wieża została wyposażona w zegar ze spiżowymi dzwonami. Opiekował się nim zegarmistrz, pobierający za to pensję z kasy miejskiej. Do jego obowiązków należało nie tylko regulowanie, ale także smarowanie oliwą całego mechanizmu. Kiedy zegar wydzwaniał godziny, słyszeć go mieli nawet mieszkańcy Janowic.

O niezwykłej urodzie ratusza przesądziła jednak późniejsza budowa barokowej, reprezentacyjnej kłamry schodów. Koronkowa konstrukcja balustrady wyjątkowo harmonizowała z grubszym ażurem ratuszowych podcieni i nieprzeladowaną sztukateriami attyką. Na pierwszym piętrze urzędował Magistrat i odbywał sądy Trybunał ordynacji. Parter przeznaczony był na areszt.

W roku 1772 Zamość dostał się pod panowanie Austrii. Cesarzowa Maria Teresa i jej następcy niechętnym okiem spoglądali na Zamojskich, prąwowych właścicieli miasta. Ponieważ monarchia miała gotową koncepcję wykorzystania militarnych walorów Zamościa, widziała w ordynacji czynnik, który mógł przeszkadzać w jej realizacji. Dla Austrii jedno z piękniejszych miast zagarniętej Galicji było przede wszystkim twierdza. Garnizon ordynacji zastąpili o wiele liczniejsi żołnierze austriaccy. Musieli oni gdzieś mieszkać, więc na koszarę zamieniano stylowe budynki licznych klasztorów i kościołów.

Twierdza, opasana wysokimi murami i przepiękna wojskiem, nadawała się

również na wzięcie. Projekt budowy nowej inwestycji nie był jednak brany pod uwagę, ponieważ pewien czas w Wiedniu panowało przekonanie, że nowa prowincja jest nabytkiem tymczasowym. W poszukiwaniu odpowiedniego budynku wybór padł na... ratusz. I tę decyzję można uważać za początek wielkiego dramatu jednego z najpiękniejszych zabytków Zamościa. Renesansowo-barokowa bryła o doskonałych proporcjach i strzelistej wieży mogła bowiem spełniać różne funkcje z wyjątkiem tej, do której właśnie przeznaczyl ją austriaccy okupanci. Na szczęście prace przy adaptacji gmachu dla nowych użytkowników ograniczyły się tylko do przeróbki wnętrza. Architektura zewnętrzna nie uległa wówczas żadnym zmianom.

Po roku 1809, gdy Zamość zdobyły wojska Ks. Warszawskiego, te niedobre tradycje poprzedniego panowania zostały podtrzymane. W dalszym ciągu władze miejskie dzieliły swoją siedzibę z więźniami. Znanie są śmiałe próby ucieczek aresztantów, co zawsze łączyło się z znaczną dewastacją budynku. W 1816 r. przejeżdżał przez Zamość Julian Ursyn Niemcewicz i tak opisuje swoje wrażenia: *Uderzony byłem i okazałością murów i nieudolnością i głuchym po ulicach milczeniem. Nie widać jak tylko żołnierzy. Zamiast gwaru przemysłowego ludu, nie słychać jak bębny i wojskowych odgłosy. Zajęte przez wojskowych akademii gmachy. Gdzie w poważnych togach przesuwali się sędziwi uczeni mężowie, ze smut-*

Kamena str. 6

mężczyzna: pozornie wygląda to na działalność konieczną z punktu widzenia ekonomicznego, podlegającą regulacjom ustawowym i politycznym. Mężczyzna sam traktuje jednak tę swoją formalną rolę raczej jako przypadkową, uboczną. Praca ta ma dla niego ważne znaczenie przede wszystkim ze względu na mnogość nastrojających się kontaktów i stosunków z kolegami i ze względu na ich nieodłączne odniesienie do żony i dzieci w jego życiu, które ma (albo które mieć będzie).

Decydujące znaczenie dla tej seksualnej konsystencji pracy ma to, że większość mężczyzn, w przekroju pionowym — przez wszystkie szczeble zawodu i wszelkie możliwe klasy — zarabia więcej niż kobiety. Powyżej postulowanych dochodów minimum, które mogą być różne w różnych krajach, pieniądze czy ubóstwo stanowią decydujący czynnik odniesienia. A to w przypadku większości mężczyzn oznacza determinujący czynnik w stosunku do kobiety. Mężczyzna, który nie zarabia tyle, co kobiety miarodajne w jego sferze doświadczeń, przyjaciółka, żona, najbliższe koleżanki — często rezygnuje ze swej działalności i oddaje się pogoni za fartuszkami, tą typową dla mężczyzn żądzą zdobycy, którą piętują w tak wzruszających słowach przedstawicielki *womens-lib*.

Jeżeli twierdzą one, że kobiety nie otrzymują z reguły takich samych pieniędzy za taką samą pracę, to te jak najbardziej słuszne dane statystyczne mogą rzeczywiście zdradzać uprzywilejowanie mężczyzn i męskiej agresywności, przed którymi muszą ustąpić nawet kwalifikacje *petentek* — kobiet. Ale nie to ma decydujące znaczenie. Należałoby raczej rozważyć, o ile wyższą cenę musiałoby zapłacić społeczeństwo za bezrobotnego mężczyznę. Bowiem bezrobotny mężczyzna nie może dłużej współsterować społeczeństwem — raczej spowoduje jego wykoślenie — podczas gdy bezrobotna kobieta mogłaby właściwą i wartościową rolę znaleźć w założeniu rodziny i podtrzymaniu jej spoiwości.

Ważne znaczenie ma w tym względzie rozumienie roli seksualnej pieniądza. Można, zwłaszcza na obszarach biedniejszych, wciąż od nowa dostrzec to, że kobieta zarabiająca więcej niż mężczyźni z jej otoczenia, wręcz demoralizuje tych mężczyzn. Bezwolnie zaprzepaszcza ich użyteczność jako osobników zarobkujących na chleb, rozluźnia stosunki między mężczyzną a wspólnotą i sprawia, że mężczyzna chce dowieść w sposób społecznie szkodliwy swej męskości; sięga między innymi po nieprzyzwoite pramodele polowań i gwałtu. Społeczeństwo kobiet stosunkowo bogatych i niezależnych będzie zarazem społeczeństwem mężczyzn żadnych podbojów seksualnych i ekonomicznych, albo też społeczeństwem narkotyzujących się darmozjadów, którzy całkiem odpisali na straty sferę życia seksualnego.

Zarobki mężczyzny natomiast mają znaczenie społecznie afirmatywne. Jeśli jest żonaty, znacznie większy odsetek jego dochodu niż w przypadku kobiety, przeznaczany jest na drugą pięć. Jego pieniądze umożliwiają mu podejmowanie inicjatyw seksualnych o trwałym charakterze. Dodają mu odwagi, aby podporządkować się seksualnemu wzorcowi postępowania kobiety, ponieważ wie, że zachowa ważną rolę zarabiania na chleb. Jego dy-

namika seksualna może więc przybierać formy cywilizowane, zamiast wywrotowych.

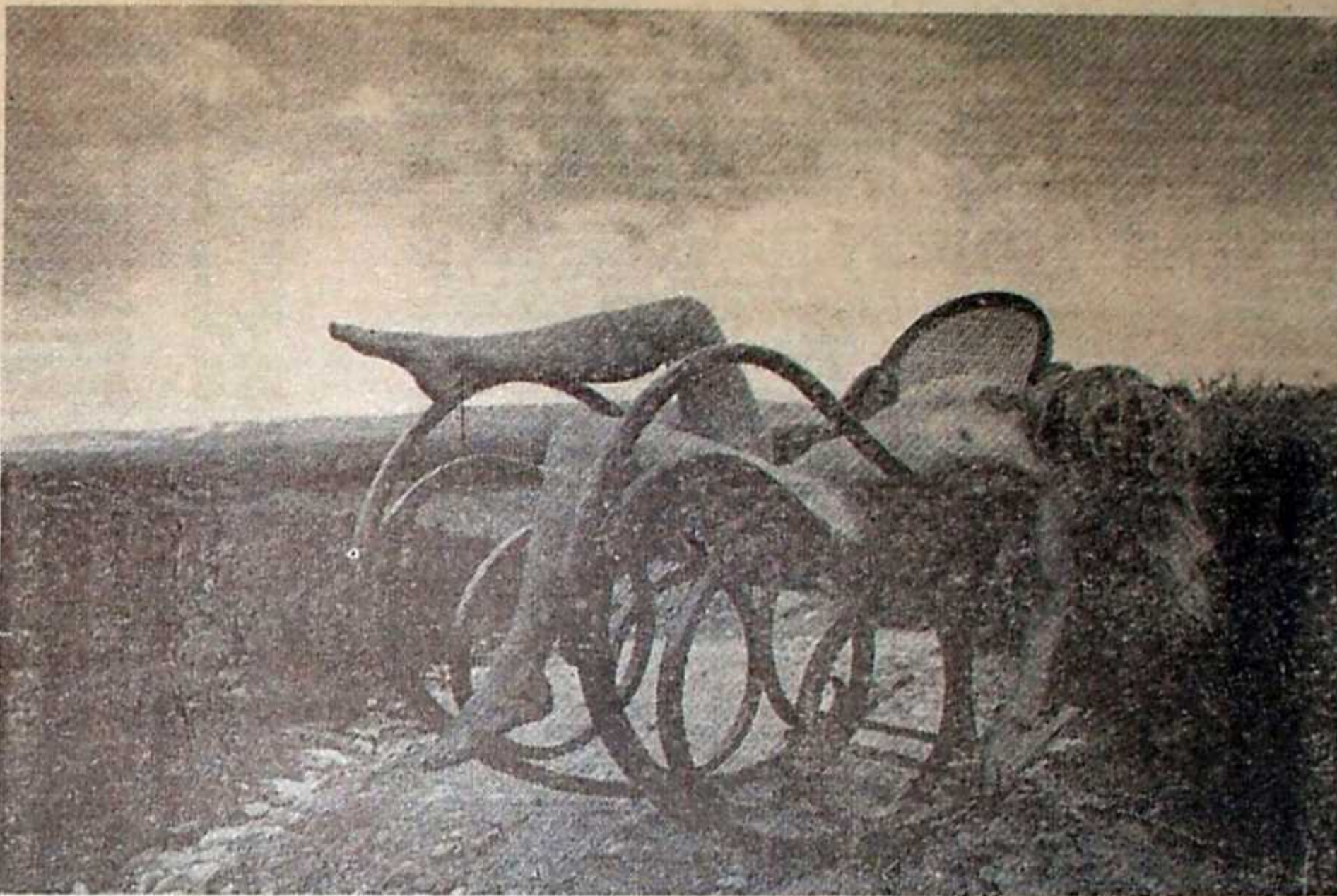
Niestety, nasze społeczeństwo dzisiejsze nie uświadamia sobie chyba szkody, jaka dlań wynika stąd, że zaniedbuje się sprawę socjalizacji mężczyzny przez kobietę. Zamiast tego próbuje się wychwalać radości, jakie daje seks łatwo dostępny i traktować małżeństwo i miłość małżeńską z powszechnie przyjętym cynizmem.

Kobiety także nie dostrzegają szkody, jaką wyządzają sobie i swemu stosunkowi z płcią odmienną. Czego spodziewają się po mężczyźnie, do którego stresów zawodowych dochodzi jeszcze stres z powodu rywalizacji zawodowej z kobietą? Tego, że odnajdzie się seksualnie? Tego, że w niej, konkurującej kobiecie, będzie widział przede wszystkim „istotę ludzką”? Te nadzieje mogą się nie ziścić. Mężczyzna stwierdza najpierw, że społeczeństwo coraz bardziej uniemożliwia, ogranicza lub „feminizuje” jego w istocie rzeczy męską aktywność. I tak pozostaje dość małe pole działania dla inicjatywy i własnej odpowiedzialności w zakładzie, w którym pracuje. Jakże ma możliwości, aby mógł się wykaazać kompensacyjnymi aktami swej męskości, które by mu umożliwiły dostosowanie się do seksualnego i społecznego rytmu życia kobiety? Będzie próbował, na ile to będzie możliwe, ograniczyć swoją rolę do seksu, a ten dostos-

wać do własnych ograniczonych form zaspokojenia — równie bezcelowej, co często pożądanej kopulacji. Wyrugowany z cywilizatorskiego zasięgu kobiety, wykreśli jej przewagę ze swej pamięci, tylko po to, by ją zniżyć do swej podłości. Upięra się przy wniosku, niekiedy wbrew na wpół uświadamianym sobie lepszym racjom, że kobiety są zdegradowane w sensie seksualnym i że można je zdegradować tak, jak mu społeczeństwo sugeruje, że sam jest zdegradowany.

Błędem jest obarczać winą za nasz obecny dykemat bądź to libido kobiety, bądź też brak odpowiedzialności mężczyzn. Oba zjawiska odzwierciedlają jedynie dalej idące tendencje epoki wrogostawionej do idei wiecznej miłości. Oba pomijają fundamentalną nieporównywalność i odmiennosć płci. Oba pomijają możliwość wzbogacania cywilizacji. Jednakże mania, aby to zablakanie podnosić niemal do rangi programu — w imię libido kobiety, swobody małżeńskiej, równowagi seksualnej, erotycznej konsumpcji masowej i tym podobne — ta mania stanowi chyba najbardziej niedorzeczną wyprawę krzyżową, jaką kiedykolwiek podejmował człowiek.

Od redakcji: Artykuł powyższy ukazał się w piśmie „Die Welt”. Drukujemy go po dokonaniu pewnych skrótów.



Fot. L. Leo

był więzieniem...

Bogumiła Sawa

kiem potyka przechodzień powolnym krokiem chodzących wybiadłych chorzych żołnierzy. We wspaniałym ratuszu widziałem więźniów w kajdanach.

W 1821 roku Zamojscy sprzedali miasto rządowi Królestwa Polskiego. Od tej chwili zniknęły ostatnie przeszkody w realizacji wcześniejszych planów przebudowy i rozbudowy twierdzy. Korespondent czasopisma „Rozmaitości”, ukrywający się od pseudonimem A. Kret..., stwierdza we wrześniu 1825 roku: *Zaloga fortecy jest bardzo mocna, bo teraz nawet gdzie całe wojsko stoi obozem, jest tutaj rezerwa wszystkich pułków jazdy wynosząca wraz z artylerią do 2000 ludzi. Zamość nie jest dla towarzyskiego pożytku, gdzie się obrócić, widać tylko wojskowych, słychać nieustanny szum broni. Straże luzują się ciężko, co chwila we dni i w nocy krążą patrole po mieście, to ruch nadaje miastu i czyni je podobnym jednej wielkiej koczowniczej.*

Trzeba więc było budować wciąż nowe obiekty dla wojska, bo klasztory, pałace i akademie pełniły już w szwach. Nowo wznoszone budynki miały zupełnie odrębny styl, charakteryzujący się monumentalnymi formami, nawiązaniem do klasycyzmu początków XIX w. i częstym stosowaniem zestawienia: czerwonej cegły i białego piaskowca. Tak właśnie wyglądają zachowane do dziś dwa nadszańce, zwane też „kawaleriami” i nowe bramy — Lubelska i Lwowska. Ponieważ nowa architektura wyraźnie kontrastowała z dawną, kie-

rujący całością prac i autor większości projektów, generał Malletski, uważał za konieczne zmienić renesansowe i wczesno-barokowe elewacje przynajmniej tym budynkom, które zajmowało wojsko.

Ofiarą tych tendencji do ujednostajnienia „zabudowy i wprowadzenia atmosfery wojskowej w całym Zamościu padł również ratusz. „Restaurację” zaczęto wczesną wiosną 1823 roku. Nowy twór niewiele przypominał dawny gmach. Zamurowano podcienia i stracono attykę. Wyłonił się teraz czterospadowy dach pokryty blachą cynkową. Z wieży zniknęły trzy włócznie Zamojskich. Wszystkie okna otrzymały okiennice pomalowane na czarno.

Po roku 1820 twierdza uważana była za największe i najcięższe więzienie w Królestwie. Na miejsce kaźni przeznaczono: nadszańce, pomieszczenia na bramach i tak jak dawniej ratusz. W lutym 1823 roku zapadła decyzja urzędującego w nim ciężkiego więźnia warownego. W hierarchii ówczesnie stosowanych kar za najcięższe przestępstwa groziła kara śmierci, na drugim miejscu było więzienie warowne na całe życie, dalej więzienie warowne od 10 do 20 lat i więzienie ciężkie od 3 do 10 lat. Tak więc zamojski ratusz przeznaczony został dla najbardziej obwiniętych, a jak wiadomo, za takich władze uważały przede wszystkim przestępców politycznych.

Oprócz zewnętrznych przekształceń zostało gruntownie zmienione wnętrze

budynku. Szczególnie starannie wykonano nowe drzwi i masywne kraty w oknach. Na parterze oprócz pomieszczeń dla więźniów znajdowała się sala dla podoficerów. Z korytarza było wejście do kaplicy więziennej z pomalowanym na czarno ołtarzem z deskę. Na pierwszym piętrze umieszczono kuchnię, komórkę i spiżarnię. Na potrzeby więzienia adaptowano również drugie piętro, a nawet wieżę. Wyposażenie sypialni składało się z jednakowych, czarno malowanych przycz bez żadnej pościeli.

Zmieniło się także najbliższe otoczenie ratusza. Na placu od tyłu, „oczyszczonym” z pięciu domów prywatnych, wybudowano murowany budynek piętrowy o okazałej, klasycznej bramie. Był on równoległy do niego, o identycznej jak on długości. Obydwa połączone solidnymi murami z dwóch stron o takiej wysokości, jak piętrowa oficyna. Wyznaczały one jednocześnie prostokątny, zamknięty dziedziniec. Obok dwóch drewnianych szop krytych gontem, pomalowanych olejną farbą na rażący czerwony kolor, na podwórzu miał ujście kanał odprowadzający nieczystości. Wieczorem i w nocy oświetlała je latarnia typu genewskiego „z szybami i rewerberem” — błyszczącą metalową blachą. Środek brukowanego dziedzińca zajmowała studnia o cembrowinie umocnionej z wierzchu ciosanym kamieniem i żelaznymi obręczami. Nowy budynek z czar-

sem został obrócony na szpital więzienny oraz pomieszczenia dla oficerów dozoru skazanych, a także dla rzemieślników wojskowych. Na początku 1824 roku w ratuszu odbywało karę 263 więźniów.

Po powstaniu listopadowym władze miejskie otrzymały nakaz eksmisji z ratusza do Nowej Osady. Pomieszczenia przez nie zajmowane przeznaczyło wojsko na szpital. Urząd Muncypalny, będąc w dalszym ciągu właścicielem, musiał sam co roku finansować kosztowny remont, bo czynsz był płacony przez użytkowników bardzo nieregularnie. W jednym ze sprawozdań rozgorzeźony burmistrz proponował, żeby zegar ratuszowy, którego utrzymanie kosztowało kasę miejską 250 zł rocznie, również oddać wojsku jako że naprawdę to on jedynie wojskowym służy.

Przez czterdzieści z górą lat w ratuszowych kazamatach straciło życie i zdrowie wielu wartościowych Polaków, a ich osobiste tragedie złożyły się na dramat pięknego gmachu. Dopiero postanowienie cara o likwidacji twierdzy z grudnia 1866 r. położyło kres największemu nieporozumieniu, na jakie sobie pozwoliła historia wobec jednego z najbardziej wartościowych zabytków Zamościa.

Z mojej praktyki nauczycielskiej

Dokończenie ze str. 1

biblioteki. Solidne przygotowanie tekstów, po dwa opracowania do każdej pozycji, zmiany w wydaniach, monografie pisarzy — nie mogą wykonać się małejszą erudycją moich przyszliz uczniowie! Jeszcze gramatyka: dwa tomy Doroszewskiego, tom historycznej — nuż okaże się potrzebne. O mały włos nie powtarzam materiałów o Levi Strausie, licho wie, czego tam teraz w szkołach uczą. Przecież ciągle powtarzają nam, że nauczyciel też powinien iść z postępem.

Wreszcie obkuta solidnie z teorii literatury, nafaszerowana wiedzą i najnowszym spojrzeniem na Żeromskiego, mogę zacząć pracę. Pomagają mi koleżanka-rusycystka i kolega-historik. Pierwszy uczeń wchodzi do sali i staje grzecznie tuż obok mego stolika.

— Gdzieś tam polaził, baranie jeden?! — rozlega się nagle potężny głos kolegi-historika (co on robi w zasadniczej szkole? Ach, jest przecież i technikami) — już niedługo to wprost na głowę pani profesorce wlezie!

Patrzę na kolegę z dezaprobatą, wręcz z niesmakiem. Jak tak można do ucznia? Należy przecież delikatnie, co przyjacielu, godność ucznia uszanować a ten?... Ale osiemnastoletni, chyba, uczeń nie czuje się wcale skrzywdzony. Patrzy na kolegę i na mnie z szacunkiem i odsuwa się na przepisową odległość.

— Tak... — mówię — to może omówisz mi szklanych domów w „Przedwiośnie”? Uczeń mruga oczami. Nie powiem, żeby miał zbyt inteligentne te oczy, ale to z pewnością tylko pierwsze wrażenie.

— Na jakiej zasadzie — zadaje pytanie pomocnicze — funkcjonuje rzeczywistość szklanych domów w „Przedwiośnie”?

Chłopak patrzy na mnie coraz bardziej wystraszony. Robi mi się jakoś nieprzyjemnie, może ta ja źle zrozumiałam „Przedwiośnie”? Przecież to dość trudna do jednoznacznej interpretacji powieść... Z pomocą przychodzi mi koleżanka.

— Kto napisał „Przedwiośnie”?
Chłopak rozpromienia się: — Mickiewicz!
— Wreszcie zrozumiał, czego od niego chcą! Teraz robi mi się zimno, ale koledy nie są wcale dziwnie!

— Tak? A kto w takim razie napisał „Pana Tadeusza”? — kontynuuje koleżanka-rusycystka.

Na to pytanie odpowiedź już nie ma. Usiłuję nie wypaść z roli i zadaję jeszcze jedno pytanie:

— Jakim gatunkiem literackim są „Niemy”?

Koleżanka kopie mnie pod stolikiem... Już lepiej w ogóle nie będę się odzywać. Błado jakoś wypada moja rola. Na studiach prowadzono nas do najlepszych szkół w mieście, praktykę odbywałam w ogólniaku, także „elitarnym” — szklane domy... Koleżanka przechodzi do gramatyki. Szukam więc przedko zdania do rozbioru, szukam, ale jak na złość wszystkie okresy uleciały mi z pamięci. Sąsiadka dyktuje już: „Niski dom stoi w lesie”. Spod tablicy dochodzi skrzyp kredy i cisza. Ponieważ cisza orzęduła się niepokojąco, koleżanka podpowiada przyjaźnie: niski, to jaka część mowy, przy-, przy-?...
— Przy- przy- przykleśtwo! — wola uradowany i olśniony raptownie uczeń. Gdzieś są twoje szklane domy? Egzamin jest skończony. Do technikum także. Przyjeżdżamy jeszcze dziesięciu kandydatów.

Gwoli zadowolenia tych wszystkich polonistów, którzy budują piekarnie, przekładają papierki w biurze, rządzą w gminach etc. i teraz spoglądają na mnie z wyższością, donoszę, że szklanych domów nie udało mi się, niestety, nigdzie spotkać. Ale przy odrobinie dobrej woli wystarczy i drewniane, byleby wsparte były na solidnych fundamentach. Dlatego należy przede wszystkim zadbać o te fundamenty.

O, po trzech miesiącach niesienia kaganka oświaty nie jestem już początkującym belfrem! Przeszłam nadużywać słów z cyklu: proszę, przepraszam, mo-

że usiądziesz, dziękuję. Osiągnęłam wyższy stopień wtajemniczenia, który pozwala posługiwać się słowami: siadał, jak śmiesz dyskutować ze mną?! A czterdziestu siedemnastoletnich i wyższych uczniów zasadniczej, oraz grubo wyżej, bo to pracujący, technikum, wtedy właśnie patrzy na mnie z aprobatą. Nauczyłam się, że dziennik oraz klucze do pracowni służą do innych jeszcze, niż to się powszechnie przypuszcza, celów, ale tego już oświadczyć nie praktykuję. W karze chłosty znakomicie wyręczają mnie koledy-dzientelmeni... Podziwiam, jak pięknie to robią, a i uczniowie omijają ich z pełnym poszanowaniem na korytarzu... Nie wyrzucam już nikogo za drzwi za złośliwe pytania w rodzaju: A co to jest ta frekwencja? Nie dziwię się, gdy uczeń technikum czyta gorzej niż moja dwuletnia siostrzenica mówi, a za osiem błędów w dyktandzie, za które uciertała szyba w klasie prof. Nalberczaka (patrz film w TV), z całą satysfakcją stawiam trójkę. Granicy dolnej — 38 błędów ortograficznych w dwustronicowym tekście, który to rekord padł w klasie I c zasadniczej — nikt jeszcze nie pobili. Ale jak powiadam — na razie.

Pora teraz na sformułowanie pewnych wniosków i zapisanie ich, jeżeli już nie kredą na tablicy, to chociaż na papierze. Z rozmów z kolegami po fachu wynika, że nie tylko ja jedna prawdziwą szkołę zobaczyłam po raz pierwszy, kiedy rozpoczęłam pracę. Wiele moich koleżanek ze studiów, uczących nawet w ogólniakach, także nicemu się już nie dziwi, a dziwiłyśmy się na początku wszystkie. I nie w tym nadzwyczajnego. Podczas studiów chodziliśmy przecież do najlepszych szkół na hospicja, odbywanie praktyki zaleca się także w szkołach do tego przygotowanych i reprezentujących wyoki poziom. To słuszne, bo właśnie wtedy się uczymy. Tylko to wszystko stwarza nam, przyszłym nauczycielom, fałszywy, bo jednostronny, obraz szkoły.

A nie wszystko i nie wszędzie w naszym szkolnictwie jest dobre. Dlaczego nie zapracowali studentów także do szkół zasadniczych, do szkół wieczorowych? Niech zobaczą, że w przyszłości będą mieli do czynienia nie tylko z młodzieżą najlepszą; będzie to przede wszystkim młodzież różna — że użyję zbyt obszernego w tym przypadku eufemizmu. Na studiach trudno widzieć siebie wśród czterdziestu dryblasów, niejednokrotnie starszych, którzy jednak zachowali umysłowość na poziomie czterdziestoletnich chłopczyków i tak też zachowują się podczas lekcji. Czyli — więcej kontaktów z różnymi typami szkół podczas studiów, więcej praktyki, a mniej teorii, bo ja jako przedstawicielka płci słabszej, chcę znać konkretne sposoby na uspokojenie owych czterdziestu dryblasów, przedstawicielki płci odmienną poradzi sobie i bez tego. Różeczką działaczki duch bić każę, a on zamieni ową różeczkę na coś znacznie cięższego...

Drugiego zagadnienia: jak to się dzieje, że mimo przedłużania szkoły podstawowej, do szkół średnich idzie młodzież coraz gorzej przygotowana, poruszać nie będą. Wszak zły to ptak...

A więc: nie buduję piekarni, nie wydaję kart rejestracyjnych w przychodni zdrowia, nie przekładam papierków w biurze — tylko dbam o te domy, bo choć nie wszystkie one ze szkła, trzeba, aby były chociaż z ucielej, solidnej cegły.

Barbara Koś

Czego też ludzie nie kolekcjonują! Stare zegary i spakowane meble i serwetki bibułkowe. Opakowania zyletek i lampy naftowe, medale, fałszywe monety, etykiety zapalniczek... Pewien pan z Bydgoszczy kolekcjonuje przekroje inny — uchwyty od łańcuszków przy zbiornikach kłozetowych z zapalem opakowania herbat ekspresowych a kolekcjoner miasteczka interesują wyłącznie materiały na temat hodowli tych. Niektóre dziedziny kolekcjonerstwa posiadają oficjalne nigdy w życiu nie słyszal przeciętny śmiertelnik. Tak na przykład filistyka to nazwa dość popularnej pasji gromadzenia do do kluczy. Bifilia oznacza zamilowanie do wszystkiego, z piwowarstwem.

WSZYSCY ci ludzie twierdzą, że kolekcjonerstwo to zajęcie pozwalające im na samokształcenie i zdobywanie określonych umiejętności, na kształtowanie charakteru, wyrabianie w sobie wytrwałości i systematyczności, psychiczny relaks, coś, przy czym się odpoczywa. Kolekcjonerstwo pozwala im oderwać się na chwilę od ciągle spieszącego się współczesnego świata, od standaryzacji, daje możliwość zachwycenia się pięknem przedmiotu, przyciąga wykonania szczegółu, zręcznością rąk ludzkich. Niektórzy dopiero w latach dojrzałych albo na starość odnajdują swoje prawdziwe zainteresowania.

Ta pasja do gromadzenia i studiowania przedmiotów, często zupełnie „niepożytecznych”, datuje się nie od dzisiaj, a ma swoich zwolenników jak świat długi i szeroki. Pierwszy klub kolekcjonerów — zbieraczy monet, autografów, znaczków pocztowych i wszelakich osobliwości — powstał prawie sto dwadzieścia lat temu w Stanach Zjednoczonych. W Wiedniu działa Heraldisch-Genealogische Gesellschaft — towarzystwo, którego członkowie interesują się wyłącznie heraldyką i genealogią. Paryscy kolekcjonerzy miniaturowych samochodów zrzeszeni są w Mini-Auto-Clubie. W Belgii z kolei, Veteran Car Club grupuje miłośników starych samochodów. Niektóre kluby kolekcjonerów nie ograniczają działalności do granic własnego kraju. Szwedzi Jarrangh, hiszpański Intercambios czy włoski Unione Nazionale Collezione d'Italia są klubami międzynarodowymi. Przynależność do takiego klubu pozwala na zdobywanie wiedzy o danym hobby, a sprzyja również wymianie zbiorów. Istnieje nawet klub działający tylko na drodze korespondencyjnej, noszący nazwę „Monalisa”.

Prawie wszystkie kluby wydają informatory i biuletyny zawierające adresy kolekcjonerów z poszczególnych dziedzin zainteresowań, a także porady i wskazówki z zakresu kolekcjonerstwa lub konserwacji. Najpoczytniejszy z tych biuletynów, amerykański miesięcznik „Hobbies” ukazujący się w Chicago, zawiera przeciętnie od 130 do 150 stron druku. W Związku Radzieckim, gdzie szczególną aktywność przejawia Moskiewskie Stowarzyszenie Kolekcjonerów, obchodzi się nawet Dzień Kolekcjonera przypadający na ostatnią niedzielę maja. W tym dniu w moskiewskim parku Sokolniki odbywają się pokazy kolekcji, a szczególną atrakcją stanowi plebiscyt publiczności na najciekawszy zbiór.

W Polsce do niedawna działały trzy kluby kolekcjonerów: w Cie-



Józef Peliński



Jerzy Gąsiorowski

Okolice sztuki

ZGODA NA BERDYSZAKA

JAN Berdyszak robi właściwie wszystko, co wchodzi w zakres plastyki: maluje, rzeźbi, rysuje. Kilka lat temu razem ze swoimi studentami zrealizował osiem pokazów tzw. plastyki przestrzeni animowanej, opartej na intrygującym tasowaniu form

i obrazów. Dopiero w 1970 roku zawiesił bliską i długą współpracę z poznańskim „Marcinkiem”, która przyniosła mu m. in. nagrodę na III Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalkowych w Bukareszcie (1965), umożliwiając później opracowanie niezwykle ciekawej scenografii do sztuk Witkacego.

Prace docenta poznańskiej PWSSP znajdują się chyba we wszystkich najważniejszych muzeach w Polsce, w zbiorach UNESCO w Paryżu, w Instytucie Sztuki Współczesnej „Kamakura” w Japonii i w Muzeum Sztuki Współczesnej w Skopje. O jego twórczości mówi się i pisze dość często, na ogół w tonacji wysokiego uznania.

Może coś przeoczyłem, ale wydaje się, że żadna z krajowych orientacji artystycznych, grup interesów i formacji towarzyskich raczej nie kwestionuje tej jego wysokiej pozycji. Twórca „Obrazu kontemplacyjnego” swobodnie czuje się

w różnych obozach, aczkolwiek nikt jeszcze nie przylapał Berdyszaka na kompromisie. A w swoich pracach nie może korzystać z pomocy kamuflażu, bo są to dzieła złożone z niewielu elementów, o przejrzystej konstrukcji, w jakims sensie prawdziwe z natury. Tym bardziej sprawa zaczyna się gmatwać.

W 1960 roku za debiut w dziedzinie malarstwa i grafiki Berdyszak otrzymał nagrodę artystyczną poznańskiego klubu „Od Nowa”, który — kierowany swego czasu przez Andrzeja Matuszewskiego — dobrze przysłużył się polskiej awangardzie plastycznej lat sześćdziesiątych. Potem autor „Kół podwójnych” brał udział w konkursie na projekt pomnika ku czci Ofiar Faszyzmu w Chełmnie nad Nerem, uzyskując i nagrodę równorzędną. Następnie zawędrował do renomowanych galerii w Tokio, Wiedniu i Londynie, wystawiał w najbardziej elitarnych galeriach sztuki w Polsce.

Berdyszak nie jest doktrynerem. Dowodem niech będą chociażby nagrody ministra Kultury i Sztuki za popularyzację plastyki, w różnych latach przyznane artyście, który dużo wysiłku włożył w rehabilitację sztuki dziecka, o czym niewiele już w kraju pamięta.

W grudniu i styczniu w „Salonie krytyków” lubelskiego BWA czynna była ekspozycja malarstwa i rzeźby Berdyszaka, która wyjaśnia co nieco postępowanie i sytuację artysty. Ta w istocie subtelna emocjonalnie i znaczeniowo twórczość rozwija się w rejonach bardzo odległych od plastyki popularnej i bezpośrednio czytelnej. Owa lokalizacja nie powinna sprzyjać narodzinom powszechnego uznania, tymczasem, jak wykazuje obserwacja, prace Berdyszaka wzbudzają zainteresowanie niezwykle różnicowanej publiczności, choć przynależą do tzw. sztuki abstrakcyjnej.

...ed cygar. An-
...poroża jelenie.
...znaczkę pocz-
...kolejowych.
...Ktoś zbiera
...z niewielkiego
...puziłek pasias-
...harwy o jakich
...skład kopokle-
...i breloków
...jest związane

szynie, Poznaniu i Wrocławiu, przy czym ten ostatni, grupujący kilkuset członków, nie tylko z Polski, ale również z kilku krajów demokracji ludowej, prowadzi najbardziej ożywioną działalność. Pięknie wydany „Informator Wrocławskiego Hobby-Clubu” zawiera na 82 stronach, poza zasadami organizacyjno-honorowymi i informacjami na temat poszczególnych dziedzin zainteresowań, przede wszystkim adresy kolekcjonerów. Osobny dział stanowią informacje dotyczące wydawnictw specjalistycznych ukazujących się na całym świecie.

Kiedy inżynier Jerzy Gąsiorowski, wieloletni członek klubu cieszyńskiego, wpadł na pomysł zorganizowania podobnej „instytucji” w Lublinie, nie spodziewał się, że znajdzie tutaj tylu miłośników kolekcjonerstwa i tak ciekawe, gromadzone przez nich od wielu lat zbiory. Do powstałego przy Wojewódzkim Domu Kultury — Klubu Kolekcjonerów zapisało się w krótkim czasie 60 członków. Są wśród nich ludzie różnych zawodów i o różnym stopniu wykształ-

Odwiedziny u kolekcjonera to prawdziwa przygoda. Przechodząc wielokrotnie obok niewielkiej willi przy ulicy Nowogrodzkiej, nigdy nie przypuszczałem, że w jej wnętrzu kryją się takie skarby sztuki zegarmistrzowskiej! Prezes Klubu, inżynier Jerzy Gąsiorowski, jest z zawodu architektem, ale jego pasją życiową to zbieranie maszyn odmierzających czas. W obszernym pokoju zgromadził ponad dwadzieścia zegarów, z których najstarszy pochodzi z XV wieku, a został nabyty jako... złom żelazny, po czterdziestu groszy za kilogram. Tylko wytrawne oko znawcy mogło odróżnić w dziwacznej, pokrytej grubą warstwą rdzy, żelaznej konstrukcji — mechanizm zegarowy. Inżynier Gąsiorowski pracował trzy lata zanim ową maszynę „owychwycił kolebnikowym”, kutą ręcznie, nie posiadając ani jednej śrubki, bo wszystko łączy się tutaj z niesłychaną precyzją na wcięcie, na włos — wprawil w ruch.

Kiedy mija kolejna godzina, w willi przy ulicy Nowogrodzkiej następuje chwila melodyjnego harmi-

Kolekcjonerem zwykle zostaje się przypadkowo, a już całych lat potrzeba, aby zbieracz zdał sobie sprawę ze swoich prawdziwych zainteresowań. Pani Anna Gizowa, romanistka, pracownik naukowy UMCS, dopiero po dłuższym czasie zorientowała się, że trochę podświadomie gromadzi przedmioty związane z historią Polski i to głównie z okresem po Kongresie Wiedeńskim. W przypadku jej zamilowań bardzo ważną rolę odgrywa historia, legenda związana z danym przedmiotem. Piękny brelok do zegarka, wyobrażający orła polskiego na tle kotwicy i skrzyżowanej kosi i piki, przedmiot z okresu Powstania Styczniowego, został znaleziony przez jednego ze znajomych p. Gizowej w szczątkach secesyjnego flakonu, który przypadkowo uległ rozbiciu. Skąd się tam wziął? Kto zatopił ten znak patriotyzmu w bryle gipsu i dlaczego — oto pytanie, które rozpala wyobraźnię kolekcjonera.

Szczególnym piętuzem właścicieli ciesz się niewielki krzyżyk drewniany, będący jednym z przy-

Zamilowanie do pięknej porcelany wyniosła Ziemska z domu rodzinnego, gdzie wiele uwagi przywiązywano do eleganckiej zastawy stołowej, do kultury jedzenia. Dziadków i rodziców interesowała zastawa stołowa głównie ze względów estetycznych, dobierano przy zakupach wyroby znanych firm — z Cmielowa, z rosyjskiej wytwórni Kuzniecowa. Od czasów dzieciństwa p. Ziemska otrzymywała w prezencie albo piękny wazon, albo filiżankę, lub rzadki okaz talerza. Zgromadził się z tego niemalże zbiór, wzbogacony kolekcją meża. Znajduje się w nim i piękna włoska majolika z XVII w. i poszukiwana przez kolekcjonerów porcelana z Baranówki, ogromny serwis stołowy z połowy XIX w. wykonany na zamówienie w czeskiej fabryce porcelany w Brezowej i wreszcie — kilkanaście egzemplarzy szkła secesyjnego, między innymi dwa wazy austriackiej firmy Loetz, wykonane ze szkła iryzującego i jeszcze jeden wazon, wiedeński, z nakładanym na szkło ornamentem miedzianym.

KOLEKCJONERZY

Mirosław Derecki



Anna Gizowa
Fot. Z. Jaśkiewicz

deru: odzywają się głosy drewnianych przepiórek i kukulek, brzmia osiemnastowieczne kuranty, godnie dzwonią zegary szafkowe, łagodnie dźwięczy melodyjka budzika-pozytywki. Milczy tylko ogromny angielski zegar podłogowy — long case — z XVIII wieku. Kiedy zostanie wreszcie doprowadzony do porządku, będzie wygrywał dwa polonezy i dwa menuety, wskazywał oprócz godzin — dni miesiąca i fazy księżyca.

Zamilowanie do zegarów wyniósł inżynier Gąsiorowski z dzieciństwa. Jako kilkunastoletni chłopak próbował naprawić stary zegar dziadka i wtedy zafascynowała go złożoność zegarowego mechanizmu. I chyba właśnie w badaniu i rozszyfrowywaniu zagadek, jakie kryją w sobie zegary różnych stylów i z różnych epok — tkwi główna istota zainteresowań Gąsiorowskiego. Potrafi miesiącami dorabiać brakujące części, szperać po warsztatach zegarmistrzowskich, dyskutować z innymi kolekcjonerami. Największą satysfakcją przynoszą mu reperacje dokonane bez niczyjej pomocy. Piękny zegar kafłowy, za którego rozebranie żądał fachowiec 2 tysiące złotych, inżynier rozmontował w końcu sam, męcząc się nad pogiętym czasomierzem trzy doby i powiada, że dało mu to jedną z największych satysfakcji życiowych. Referat o historii mechanizmów zegarowych, wygłoszony przez inżyniera na jednym z zebrań Wojewódzkiego Klubu Kolekcjonerów, świadczył o jego głębokiej wiedzy w tej dziedzinie. Nic dziwnego — Jerzy Gąsiorowski od lat gromadzi literaturę fachową, głównie obcojęzyczną, bo w Polsce, poza obszerną ksiązką księdza Podwapińskiego — „Zegarmistrzstwo”, wydawnictwa na ten temat można policzyć na palcach.

kładów tzw. „czarnej biżuterii”, noszonej przez Polki w okresie po powstaniu 1863 r. Ten należał do żony nalezcowskiego malarza Henryka Wiercińskiego. Nie zdęjmowała go z szyi dokąd mąż nie wrócił z zesłania.

Zbiór monet z XIX wieku ukazuje jak w latach zaborów rugowane były powoli a konsekwentnie elementy polskości nawet z przedmiotów codziennego użycia. Oto moneta z okresu Księstwa Warszawskiego z polskim orłem i polskim napisem. Moneta pięciozłotowa z początków Królestwa Kongresowego posiada już wizerunek cara Aleksandra I, napis w języku polskim, ale polski orzeł umieszczony został na piersi dwugłowego orła carskiego. Po Powstaniu Listopadowym pojawia się na monetach napis dwujęzyczny, a polskie godło państwowe — już tylko na skrzydle orła rosyjskiego. W latach poprzedzających Powstanie Styczniowe monety niczym prawie się już nie różnią od monet rosyjskich z wyjątkiem dwóch literek na awersie — „W. M.”. „Warszawska Moneta”, oznaczających, że były one bite w ostatniej polskiej mennicy, w Warszawie. Ogromną wagę przywiązuje także Anna Gizowa do szeregu medali, medalionów i plaketek o treści patriotycznej, wykonywanych pod koniec XIX w. albo w konspiracyjnych warsztatach w Polsce, albo we Francji przez znanego paryskiego medaliera Tasseta, na zlecenie tamtejszej polskiej emigracji.

Historik sztuki, Danuta Ziemska, ma pokaźny zbiór porcelany i szkła artystycznego. Kierunek zbieractwa związany z zawodem, ale wiele lat traktowany przez kolekcjonerkę jako mało znaczące hobby.

Danuta Ziemska jest dzisiaj w Lublinie jedyną osobą posiadającą tak wielkie wiadomości na temat porcelany oraz szkła artystycznego i powiada, że dopiero teraz w pełni sobie uświadomiła, dlaczego kiedyś zdecydowała się na studiowanie historii sztuki.

Zamilowanie do kolekcjonerstwa może być również wrodzone. Lubelski rzemieślnik z dziada pradziada, grawer z zawodu, właściciel warsztatu produkującego stemple gumowe, Józef Peliński, odziedziczył po ojcu zamilowanie do gromadzenia przedmiotów związanych z historią rzemiosła. Dumą jego pokaźnego zbioru stempli do pieczęci lakowych i tuszowych jest stempel hrubieszowskiego cechu szewców z 1616 r. Posiada również Peliński dodatkową pasję: zbiera... stare patefony i gramofony. Ma ich potężną kolekcję — od „turytycznych”, walizkowych, po „salonowe”, szafkowe i takie, które pyszną się ogromną, czerwona tubą, wydającą ryk mogący ogłuszyć nawet najbardziej młodzieżowego miłośnika decybeli. Tak jak inżynier Gąsiorowski, Józef Peliński cały wolny czas poświęca na uzdrawianie zardzewiałych mechanizmów, a klientów i znajomych raczy od czasu do czasu piosenką z przedwojennej, trochę już zdartej płyty, reklamującej zalety margaryny „Menora”. Na pytanie, skąd w jego kolekcjonerstwie takie różnicowanie: stemple, pieczęcie i patefony, Peliński odpowiada, że stemple, choćby najpiękniejszy, pozostanie na zawsze przedmiotem martwym. A patefon? Patefon jest martwym przedmiotem, który troskliwa ręka kolekcjonera potrafi ożywić...

Z. Jaśkiewicz

J. Trembecki

Podstawowy kierunek tej twórczości identyfikuje się ze skomplikowaną próbą awansowania przestrzeni do rangi aktywnej wartości formalno-wyrazowej. Różnokształtne wycięcia wprowadzają przestrzeń do wnętrza obrazów, które w zależności od wyglądu i dynamiki otoczenia. W takim układzie przestrzeń może być kolorowa, ciepła lub zimna, w pewnym sensie zyskując „materialność”. Okazuje się przy tym, że mamy do czynienia z działalnością w pełni świadomą. Wśród źródeł inspiracji Berdyszak wymienia kulturę Dalekiego Wschodu oraz sztukę europejskiego średniowiecza i kontrreformacji, a więc dwie płaszczyzny tej samej w istocie doktryny filozoficznej. Z przeszłości kłania się też Kartezjusz, negujący istnienie próżni, a współcześnie kontynuatorzy i wyznawcy teorii względności, wciąż aktualnej, odwołują się z wyrazem niemiłego zaskoczenia, że ktoś bardziej ufa kontemplacji,

niż fizyce. Ale to nieporozumienie, albowiem Berdyszak wywodzi swoją twórczość z obu tych dziedzin. Chcąc pokusić się o nieporadne, z konieczności, wyjaśnienie owego fenomenu, jakim jest dość powszechna zgoda na Jana Berdyszaka, wypada też zwrócić uwagę na fakty dość trywialne: na sposób wykonania rzeźb i obrazów. Artysta ceni sobie rzemiosło, jego prace zdają się pochodzić z seryjnej produkcji przemysłowej, wykonane są bez braków i przypominają rzeczy, niech mi autor wybaczy, z importu, co wzbudza zaufanie obywatela. Berdyszak nie dysponuje fotokomórką i za żadne skarby nie może dostać palnika kobaltowego, który gwarantuje precyzję, szybkość i skuteczność operacji, ale daje dzieła solidne pod względem technicznym, satysfakcjonujące niejednego odbiorcę. To nie żarty, kto pamięta „technologiczny zachwyt” publiczności warszawskiej wystawy trzech Niemców z NRF, którzy trzy lata temu pokazali prawdziwe cuda elektroniczno-pleksiglasowe, ten zrozumie, w czym rzecz. Poza tym mamy do czynienia z twórczością po prostu ładną, jak to się mówi w biurach, estetyczną, rozwiązaniem kolorystyczno-kompozycyjnym obrazów

czterdziestoletniego autora trudno cokolwiek zarzucić. Na koniec zauważmy, że wyrafinowana gra owalu z prostokątem, w której obok koloru na zasadzie partnerstwa uczestniczy przestrzeń, posiada sens podwójny: przynosi złożone doznania emocjonalne oraz skłania do refleksji nad wieloznacznością pojęcia obrazu, prowadząc w kierunku problematyki szczególnie dziś aktualnej. Naszkicowane okoliczności powodują, że twórczość Jana Berdyszaka może być źródłem całkiem pospolitych i bardzo wyrafinowanych doznań.



Jan Berdyszak
Fot. A. Folański

B to właśnie BLUES jest...

Jacek
Grün

BLUES

CORAZ więcej naszych zespołów muzycznych, tworzonych przez niedysyjszych nastolatków, dochodzi do wniosku, że prymitywny big-beat skończył się, że uprawianie takiej właśnie muzyki nie daje satysfakcji ani twórcom, ani tym bardziej słuchaczom. Co nieco podskoczyło się w ciągu tych ostatnich lat i sięga się wyżej, do bardziej ambitnych form, w których wykazać można swój poziom techniczny i możliwości improwizatorskie. Tą wyższą formą okazuje się być coraz częściej BLUES.

Sprawa nie jest taka prosta, jak by się mogło wydawać. Fraza muzyczna, składająca się z reguły z dwunastu taktów, została bowiem sprofanowana przez coś, co przyjęło nazwę — rock and roll. I na wyznacznikach takiej formy oparła się cała twórczość obrzywniej masy zespołów, którą mam okazję wysłuchiwać przy byle powiatowym czy wojewódzkim przeglądzie młodych talentów. Nie jest to przykre, że gra się taką a nie inną muzykę; gorzej, gdy mówi się: „my gramy bluesa”, a pod wygodną nazwą ukrywa się zaledwie owe dwanaście taktów.

Blues jest muzyką czarnych. Później dopiero jego skomercjalizowana forma, rock and roll, czyli po prostu szlagier, stał się domeną białych, gdy świat został opanowany przez Presley'a i kilku jego naśladowców.

Gdy w epoce handlu niewolnikami biali osadnicy zaprzęgli w Ameryce do pracy Murzynów, tysiące ludzi zostało oderwanych od swojej strefy kulturowej, doznając zetknięcia z zupełnie innym rodzajem muzyki. Muzyka europejska, opierająca swoją skalę muzyczną na siedmiu dźwiękach podstawowych, była dla mieszkańców Afryki, posługujących się pentatoniką, a więc skalą pięcioletnicową, czymś zaskakującym, nowym, wprost niepojętym. Zwłaszcza, że katolicy misjonarze wraz z religią uczyli ich pieśni kościelnych, pieśni, oczywiście, europejskich, w których pojawiały się dwa nieznanymi dźwięki: trzeci i siódmy naszej skali, a przenosząc to na system



symboli, dźwięki „mi” i „si”, albo w gamie C-dur dźwięki E i H. Według naszej teorii muzyki w tych miejscach poczuli czarni fałszować. Raz był to dźwięk o pół tonu wyższy, innym razem niższy. Czarny człowiek nigdy nie nauczył się owej europejskiej „czystości”. Te „fałsze” natomiast stały się podstawowym wyznacznikiem nowej muzyki — archaicznego bluesa, a niepewne dźwięki nazwano „blues notes”. Postawiło to oczywiście na głowie cały europejski system tonalny, bo przecież blues, a później jazz, na tym systemie bazowały. Andree Hodair pisał: „Blue notes”, z punktu widzenia naszego obserwatora, są zatem równie „nieczyste”, jak „fałszywy ton” jazzu nowoczesnego dla kogoś, kto jest zwolennikiem „czystości pierwotnej”.

Nic prawie nie wiemy o archaicznym bluesie, o jego początkach. Zachowały się jedynie pewne teksty i tkwiące w środowisku murzyńskim fragmenty melodii. Znaną są źródła: na plantacjach bawełny śpiewano tzw. worksona (pieśni pracy) lub field hollers. Śpiew ułatwiał pracę, nadawał jej rytm. W filmie „Chata wuja Toma” próbowano, z doskonałym zresztą skutkiem, odtworzyć takie właśnie archaiczne songi, w których wyczuwa się „blue notes” i prawzory bardziej współczesnych tekstów. Później blues przeniósł się do miasta, krystalizując dwunastotaktową frazę rozszerzając swoją tematykę o nowe sprawy związane z innym środowiskiem. Wówczas to zaczęły wylaniać się nowe jego gatunki: archaiczny, wiejski, miejski. Później wprowadzono nową, oryginalną w końcu muzykę do rozrywkowych lokali wielkich amerykańskich metropolii, później jeszcze Ameryka zapamiętała takie nazwiska jak: T-Bone Walker, John Lee Hooker czy Johny Dodds. Na zaw-

sze jednak blues pozostał domeną czarnych, do czasu, gdy świat usłyszał, jak John Mayall — śpiewa „białego bluesa”.

Gdy na początku snobizm, a potem zwykła ciekawość kazala białym zwrócić uwagę na to muzyczne curiosum, ale curiosum piekielnie chwytające za serce, ściskające gardło swym tragizmem — może zabrzmiało dziwnie — muzycznym, dające fenomen poezji ludowej, jakiego nie zna folklor europejski — pojawiło się kilku jazzmanów amerykańskich, dla których inspiracją był blues. Ale to już była muzyka przetworzona, czerpiąca wprawdzie wiele elementów (frazę, improwizację, blue note), lecz nie będąca blisko swojej pochodnej Bo blues nie jest, wbrew opiniiom, jazzem, jest tylko jednym ze źródeł jazzu.

Przed kilkunastu laty weszło do historii tej muzyki jeszcze jedno nazwisko, jakże jednak ważne. John Mayall — król białego bluesa, Anglik grający na kilku instrumentach, człowiek, który urodził się z łańcuchem murzyńskim wyczuwaniem gamy bluesowej, sposobem improwizacji wokalne i instrumentalnej, słowem z tzw. feelingiem. Mayall nigdy nie dorównywał swym białym kolegom wartością głosu, zbyt szybko przechodził na falset, niskie zaś tony ginęły w basowym pomruku. Jedynie silne mikrofony zdołały wyłowić go spośród wielu instrumentów. Ale też żaden prawie z czarnych bluesmanów nie zachwycał sprawnością wokalną, lecz przede wszystkim timbrem i feelingiem. Mayall nie kopiował, on stworzył kolejną odmianę bluesa, której gratulowali mu bezpośredni kontynuatorzy bluesa amerykańskiego. Znowu powstała się, bo powtórzyć się musiała, dwunastotaktowa forma, improwizacja nadała jej ów subtelny, prawie archaiczny kształt, teksty od-

biegały znacznie od tych, które serwuje muzyka rozrywkowa.

Gdy w tekstach Murzynów było to, czym żyli na co dzień, a więc więzienie, policja, bezrobocie, nędza, to w bluesach Mayalla nastąpiło jedynie przeniesienie inspirowania piszącego przez otaczającą go rzeczywistość. A rzeczywistość — to zupełnie zrozumiałe — była nieco inna. Murzyn śpiewał o niespełnionej miłości, Mayall szukał przyczyny, dla której dziewczyna nie przyszła na spotkanie. Mayall tworzył swe bluesy już wówczas, gdy nie przylechli jeszcze szat rock and rolla.

Joachim Berendt, krytyk niemiecki, dla którego rock jest tym, czym dla nas często free-jazz, pisze: „W rock and rollu blues przeradza się w szlagier... i tym samym przestaje być jazzem. Wszystko, co w jazzie jest lekkie i swobodne, uduchowione i pełne wyrazu, w rock and rollu staje się natrętne i głośnie, wulgarnie i banalne.”

Opinia została tu sformułowana jednoznacznie i najprawdziej. Powstało przecież już nowe zjawisko, tzw. hard rock (ciężki) posługujące się tą samą skalą i... oguszającym łomotem gitar elektrycznych. Wydaje się, że po epoce muzyki subtelnej, po prymitywnym beacie, po tendencjach do ponownego usubtelnienia, po udanych zresztą próbach uczynienia muzyki kameralną, wraca łomot i brak zrozumienia, że to nie jest blues.

Wracam zatem do punktu wyjścia, do zespołów za wszelką cenę próbujących szukać nowej, oryginalnej w nazwie szufladki pn. BLUES. Wiedząc, że opierał się on na dwunastu taktach, nakładają na taki szkielet harmoniczny cały bełkot pozorowanej improwizacji. Kiedyś zwrócił się do mnie początkujący gitarzysta z prośbą: mamy grać „dwunastkę” w E-dur, naucz mnie jakiejś improwizacji.

Pomieszenie z poplątaniem, którego realizacje dobiegają z wielu estrad, a nawet płyt popularnych zespołów. Jak przekonać, że improwizacja to nie kilka dysonansów, wypracowanych (dla ostrożności) w pobliżu dźwięku podstawowego, w pobliżu toniki? Jak wytłumaczyć, że to teoria i historia, przed którymi jak mogą tak się bronią młodzi muzycy?

„Sudny Times” z 30 grudnia zamieszcza 7 szkiców, w których krytycy i pisarze podsumowują wydarzenia literackie 1973 r. we Francji, w ZSRR, NRF, Włoszech, USA, Chinach oraz Afryce Zachodniej. Oto — w skrócie — ich wypowiedzi:

FRANCJA Michel Mohrt

— Niektórzy znawcy uważają, że ponieważ przedłożono im do oceny tak bardzo przeciętne powieści, członkowie Akademii Goncourtów nie powinni byli raczej przyznawać nagrody. Zyskałaby ona w ten sposób na wartości, co by jej się przydało. Jurorzy zaś uniknęliby może tej fałszywej, którą zostali zbiorowo obrzuceni w czasie pewnego programu literackiego w telewizji. [...] Powiedziano im m. in., że ich akademia niemal zawsze wyróżniała złe książki, że mając do wyboru między dobrymi a złymi pisarzami dziewięć razy na dziesięć wybrała złych, całkowicie następnie zapomnianych. [...] Nasi akademicy nie potrafili udzielić odpowiedzi tym głosom krytycznym. [...] To zabawne widowisko było sensacją sezonu.

Akademia Francuska wzbudza mniejsze zainteresowanie. Jeden z jej członków, Maurice Druon, mianowany został ministrem kultury i obejmując

ten urząd powiedział coś, co wydaje się rozsądne, ale oburzyło wielu ludzi. Zauważył on, że nie można jednocześnie występować przeciwko społeczeństwu i zwracać się o jego pomoc finansową. Niektórzy nieśmiertelni akademicy zeszli z tego świata: m. in. hrabia Władimir d'Ormesson. W kilka tygodni później hrabia Jean d'Ormesson przyjęty został do Akademii i w wieku 49 lat jest najmłodszym członkiem tej instytucji. Rządy przychodzą i odchodzą, ale wielkie rodziny i Akademia nie przemijają...

ZSRR Aleksander Dymyszyc

— Aleksander Czakowski poświęcił swą nową powieść „Blokada” obłożonemu Leningradowi oraz tragedii i bohaterstwu mieszkańców tego miasta. Ta epicka opowieść składa się z 5 tomów, z których cztery opublikowane zostały w literackim miesięczniku „Znamia”. Ukazały się też w odrębnych wydaniach. Cieszyły się dużą poczytnością i były żywo dyskutowane. Przedstawione w nich wydarzenia są fragmentem historii, ale nie uległy zatarcu przez upływ czasu. Choć pozornie wydają się odległe, nadal bliskie są czytelnikowi i zawierają trwałe treści i znaczenie. Pierwsze cztery tomy dotyczą wydarzeń z 1941 roku.

Powieść zrecnie łączy epizody oparte o fakty historyczne, zaczerpnięte z kronik i dokumentów, z epizodami dotyczącymi fikcyjnych postaci. Daje to dużą swobodę autorowi, który przenosi czytelnika do siedziby radzieckiego dowództwa, hitlerowskiej jaskini w Berchtesgaden, okopów radzieckich,

LITERATURA

mieszkania leningradzkich intelektualistów i leningradzkich fabryk. W książce występują znane osobistości polityczne i wojskowe, jak również zwykli obywatele i żołnierze. Czakowski ma wyraźną przewagę nad tymi, którzy opisują blokadę jedynie jako historię. Polega on bowiem nie tylko na archiwach i talencie literackim, ale na własnej pamięci, gdyż sam przeżył okres blokady. [...] To arcydzieło epickie zadaje kłam różnym tendencyjnym komentarzom na temat klęski hitlerowców na froncie wchodnim, usiłującym przypisać tę porażkę błędowi militarnym Hitlera i jego generałów, warunkom atmosferycznym itp. Czakowski wykazuje wyraźnie, że o zwycięstwie zadecydowała jedność narodu radzieckiego, zjednoczonego wokół swej Partii, jego oddanie ideałom komunizmu, zdolności wojsk radzieckich i odwaga.

NRF Rudolf W. Leonhardt

— Pięć najbardziej zasługujących na uwagę publikacji w NRF w 1973 r. dotyczy niemieckiej przeszłości i współczesnego marksizmu. Odnosi się to wyraźnie do książki Joachima Festa pt. „Hitler” będącej [...] biografią Hitlera. [...]

Następnie chciałbym wymienić cztery dzieła beletrystyczne, z których dwa

nie są bynajmniej fikcją, lecz fragmentami autobiograficznymi. Peter Schneider, znakomity krytyk i eseista, opisuje w książce pt. „Lenz” swój własny rozwój od aktywisty zaangażowanego w rewoltę studencką w 1968 r. do bardziej dojrzałego socjalisty. W książce pt. „Klassenliebe” („Miłość klasowa”) Karin Struck realizuje marzenie lewicowych intelektualistów o „literaturze klasy robotniczej” dla klasy robotniczej. Blżej czystej fikcji znajduje się książka Siegfrieda Lenza „Das Vorbild” („Przykład”). Usiłując odpowiedzieć na pytanie, jak można nauczyć dzieci właściwego postępowania, Lenz analizuje aktualny stan umysłów w NRF. Na pograniczu fikcji znajduje się również trzeci tom książki Uwe Johnsa „Jahrestage”, która składa się z czterech tomów i stanowić będzie powieść epicką o powojennych Niemczech, wschodnich i zachodnich. Choć jeszcze nie została zakończona, książka ta wydaje mi się najważniejszym wkładem Niemiec do literatury światowej od czasów „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna.

WŁOCHY Sergio Perosa

— Był to rok wielkiego XIX-wiecznego klasyka Alessandro Manzoni'ego, wciąż jeszcze niedocenianego za gra-

Kamena str. 10

JURIJA poznałem podczas pobytu w Lenin-gradzie na stypendium literackim w 1964 roku. Natchmiast zostaliśmy kumplami na sto dwa. I muszę tu, ku zgorszeniu walczących abstynentów, powiedzieć, iż do zawarcia i powstania naszej wielkiej, od pierwszego spotkania przyjaźni, pomogły dobre trunki, szczególnie koniak azerbejdżański.

Sympatyczny poeta Jurij nosił polsko brzmiące nazwisko. Do dziś mam w swojej bibliotece „Pisma Juliusza Słowackiego” ofiarowane mi przez niego. Edycja utworów Słowackiego, którą mi podarował, ukazała się dokładnie w roku 1909, czyli w stulecie urodzin poety. Niektóre utwory zostały wydrukowane z wieloma skreśleniami cenzury carskiej. Jurij twierdził, że „Pisma Juliusza Słowackiego” kupił jego dziadek, który doskonale roz- mawiał po polsku. „Żałuję i wstyd mi, że nie znam języka swego dziadka” — powtarzał do mnie. Z jego słów wynikało, że ceni swoje polskie nazwisko, a pochodzenie wspomina z sentymentem i rozrzew- nieniem. Mimo że Jurij nie znał języka polskiego, a ja podczas tamtego pierwszego pobytu na sty- pendium nie najlepiej władałem rosyjskim, dog- adywaliśmy się we wszystkim doskonale. Przyjaźń i serdeczność są bowiem tak świetnym, wszech- stronnym i bogatym językiem, że dla porozu- mienia się człowieka z człowiekiem lepszego nie potrzeba.

Jurij poznał mnie podczas pierwszego mego pobytu w Leningradzie ze swoją przemiłą żoną, Nataszą. Byli tuż po ślubie i widziałem, że nie mogą bez siebie żyć.

Po pięciu latach znowu przyjechałem do Lenin-gradu, również na stypendium literackie. Po przy- jęciu w Związku Literatów, późnym wieczorem Jurij wsadził mnie do samochodu i powiózł do swojej tak zwanej „daczki”. Wielu artystów, w tym także poetów, ma niedaleko od miasta swoje domki. Na marginesie wspomnę i o tym, że kiedy piszę lub słyszę słowo „daczka”, zazdroszczę naszym radzieckim kolegom. Ale to już oddzielny, wcale nie zabawny temat, więc pomijam go...

Stanęliśmy przed uroczym, oświetlonym ciepłymi barwami domkiem letnim Jurija. Już od progu rzucam się w objęcia pani domu.

— Dobry wieczór, kochana Nataszo, Jurij bez przerwy mówi tylko o tobie... Ciągłe, aż do znu- dzenia powtarza mi jedno i to samo, że kocha tylko swoją Nataszę, że bez niej nie może żyć... — zaczynam rzekę pochlebstw, niby to skarżąc się na jednostajność tematu w rozmowach z Jurijem — Nataszo, tyś musiała jakichś czarów użyć...

I byłbym dalej ciągnął swoją pochlebną, pełną emfazy orację, jak to Jurij ogromnie kocha swoją Nataszę, gdyby nie mocne, drapieżne szarpnięcia Jurija za mój łokieć. Próbuje bezskutecznie wy- swobodzić się z uścisku jego silnej dłoni... Za moi- mi plecami Jurij coś szepeje, jednak tak cicho, że nie mogę nic z tego zrozumieć. Wyraźnie chce mi przeszkodzić w wygłaszaniu peanów na cześć jego miłości do Nataszy. Widzę dziwnie zmieszana twarz jego żony, która usiłuje dosięgnąć wzrokiem Jurija skulonego za moimi plecami...

— Widzisz, Nataszo, przede mną bez przerwy opowiadał, że cię ubóstwia, a teraz ciągnie mnie za rękaw... — brnę dalej konsekwentnie. — Pewnie myśli, że jeśli dowiesz się jak on cię kocha i świąta za tobą nie widzi, wtedy zaczniesz go lekcewa- żyć — zdobywam się na dowiecny ton. — Ale Natasza jest wspaniałą dziewczyną i nie ci takiego nie grozi! — mówię odwracając się do Jurija.

I w tym momencie, korzystając z okazji, pani domu znika w kuchni.

Patrzę na śmiertelnie bladą twarz Jurija i w dalszym ciągu nie rozumiem. Wiem już jednak, że musiałem popełnić jakąś potworną gafę. Tylko z powodu moich banałów Jurij nie mógłby mieć takiego wyrazu twarzy. O, stało się coś strasznego! Ten zawsze tak dobroduszy poeta patrzy na mnie z wściekłością.

— Coś ty... Coś ty...!! Co ja teraz... — jęknął boleśnie Jurij.

Staliśmy zbaraniały, nie nie rozumiejąc.

— Rok temu rozwiodłem się z Nataszą... To jest moja druga żona, Wiera, którą kocham... — usly- szałem nienawistnie cedzone przez zęby słowa. — Czy ja ci coś mówiłem, do licha, o Nataszy? —

— Już od wczoraj do ciebie wydzwaniam — skrzył się. — Gdzie ty się waleśsz, zateksnilem za tobą... Wiera już się nie gniewa... Zapraszam cię dziś na siódmą wieczór do Związku, będzie nasz wybitny pisarz S. Koniecznie przyjdź...

Czując moje skrupuły długo nalegał i tłumaczył, żeby nie był dzieckiem i przyszedł. Musiałem mu dać słowo honoru, że przyjdę na pewno.

Z oporamí poszedłem na to spotkanie. Jurij po- sadził mnie obok Wiery, z drugiej strony siedział ze swoją małżonką jego kolega Aleksy, też poeta. Żona Aleksa, jak na nieszczęście, było na imię Natasza. Ale o tym za chwilę...

Koniak tego wieczoru smakował im niesamo- wicie. Zdaje się, że chciałem porządnie wypić, aby zapomniać o wszystkim. Po iluś tam kieliszkach,

Moje gafy zagranicą

Czesław Kuriata

powiedział gdzieś z wnętrza siebie, z ogromnym wysiłkiem.

— Nie, nie... — zacząłem się jękać, bo teraz uświadomiłem sobie całą groźbę sytuacji! Zacząłem, rzecz jasna, błagać Wierę o przebaczenie, klękać, przysięgać, że wszystko, co powiedziałem przed chwilą, ja sam wymyśliłem, bowiem ani razu Jurij nie wspominał o Nataszy... Wciąż przysięgałem, że chciałem jak najlepiej...

— Ale o mnie też nie wspomniał — odpowied- działa po kobiecemu.

Jurij opadł skulony na wersalkę. Zrozumiałem stereotypowe powiedzenie: „Wygląda jak zdjęty z krzyża”... To powiedzenie absolutnie pasowało teraz do mego przyjaciela. Cały ten wieczór był zmarnowany, upłynął na moich bezustannych, do znużenia powtarzanych przeprosinach, przysię- gach, że to wszystko wymyśliłem ja sam, chcąc się przypodobać... Mówiłem, że Nataszy już wcale nie pamiętam, a tu nagle taka piękna i miła dziewczyna... Długo gmatwałem całą sprawę, aż wreszcie trochę rozjaśniłem oblicze pani domu, która do mnie cały czas odnosiła się grzecznie, ale wiedziałem, że długo nie daruje tego wszyst- kiego Jurijowi... Tego wieczora wszyscy poczuliśmy się wyjątkowo zmęczeni i dość szybko poszliśmy spać. Rano, nie wracając do tematu z poprzedniego dnia, tuż po śniadaniu, Jurij odwiózł mnie do ho- telu, w którym mieszkalem.

Kilka dni chodziłem jak struty. Nie dzwoniłem do niego, nie odwiedzałem go. Po prostu bałem się. Wreszcie któregoś dnia Jurij zatelefonował do mnie.

kiedy już w głowie wszystko kręci się dokumen- talnie, zwracam się do Aleksa:

— No, wreszcie, teraz masz śliczną dziewczynę... To był najwyższy czas, żebyś się zdecydował na rozwód... Tamta zapędziłaby cię do grobu...

Najbliżej siedzący mnie spojrzeli po sobie z prze- rażeniem. Oto, jak mi się wszystko pokręciło! „W pijanym widzie!” Wciąż męczyła mnie gafa w do- mu Jurija, więc teraz chciałem naprawić wyrzą- dzoną krzywdę. Tyle tylko, że tym razem pomy- liłem adres. Wziąłem Aleksa za Jurija. Aleksy nigdy w życiu ani myślał rozwodzić się, ze swoją żoną już dziesięć lat żył szczęśliwie. Byli jednym z najbardziej dojrzałych małżeństw. O tym dowie- działem się następnego dnia.

Tego wieczora, po moim odezwaniu się, które miało naprawić gafę w domu Jurija, usłyszałem jak żona Aleksa zwróciła się szeptem do niego:

— Tyś pewnie musiał komuś coś wspomnieć o rozwodzie... To bardzo dobrze, że dowiedziałam się o tym... Porozmawiamy dokładnie o wszystkim w domu...

I jak tu wierzyć, drodzy czytelnicy, powiedzeniu, że doświadczenia uczą. Ja przecież chciałem za wszelką cenę, nauczony doświadczeniem, zmazać nietakt w stosunku do żony Jurija i naprawić krzywdę jaką wyrządziłem jemu samemu.

Od tego jednak wieczora, po kolejnej gafe, tym razem w stosunku do małżonki Aleksa, żona Juri- ja była dla mnie bardzo serdeczna... A przecież ja sprawilem jej tak wielką przykrość... Naprawdę, nigdy kobiet nie rozumiałem!

chodowego, zawarty w książce Emmy Rothschild „Paradise Lost”, jest świet- nym odtworzeniem przeszłości.

CHINY David Bonavia

— Chiny są zapewne jednym kra- jem, w którego wydawnictwach domi- nowały w ub. roku dzieła filozoficzne, historyczne oraz krytyka literacka. No- wych wydań było niewiele. Najbar- dziej rzucała się w oczy próba radyka- lizacji nauki chińskiej, zwłaszcza w odniesieniu do interpretacji Konfucju- sza i jego czasów. [...]

Nie ukazała się żadna zasługująca na uwagę nowa pozycja beletrystyczna, oprócz powieści i nowel usiłujących spopularyzować polityczne idee „rewolucji kulturalnej”. Wydano jednak ponownie dzieła Lu Hsuna, najślynniejszego autora weznesnego okresu rewolucyjnego, pomimo że krytycy zachodni uważają, iż są one utrzymane w tonie pesymistycznym, a nawet nihilistycz- nym. Starzejący się przywódcy KP Chin są, jak się wydaje, nadal bardzo przywiązani do Lu Hsuna ze względu na to, iż poparli on ich sprawę na p- czątku lat trzydziestych, gdy był sly- ny, a oni dopiero rozpoczęli swą walkę.

AFRYKA ZACHODNIA Cameron Duodu

— Najnowsza literatura w Afryce Zachodniej zadaje cios koncepcjom, iż twórcy pisarze nie powinni się anga- żować politycznie w swej pracy, lecz jedynie zapewniać swym czytelnikom

rozrywkę, lub pouczać ich ogólnie o naturze ludzkiej przy pomocy skompli- kowanych studiów charakterologicz- nych.

Tak np. Chinua Achebe z Nigerii po- święcił swą ostatnią książkę „Czło- wiek z ludu” sfalshowanym wyborom, po których nastąpił przewrót wojsko- wy, przy czym oba te wydarzenia mia- ły w rzeczywistości miejsce w Nigerii, mniej więcej w tym czasie, gdy opu- blikowano tę książkę. W książkach Ayi Kwei Armaha z Ghany, Camara Laye z Gwinei, Ferdinanda Oyono („The Houseboy”) z Kamerunu i Yambo Oulougouema („Le Devoir de Violence”) też z Kamerunu, można wyczuć zma- ganie się pisarzy z sytuacją polityczną, której wprawdzie nie aprobują, ale o której nie waży się zbyt wiele powie- dzieć. Wie bowiem, że mogą go spotkać represje.

Czasami pisarza ratuje tylko to, że nie zrozumiano treści jego książki. O trudnościach tych świadczyć może opo- wieść nigeryjskiego dramaturga i pisa- rza Wole Soyinki „The Interpreter” o jego przeżyciach w czasie wojny bi- afrańskiej, kiedy to osadzony został w obozie. Nie ulega wątpliwości, że naj- ważniejszą książką wydaną w Afryce Zachodniej jest jego relacja z pobytu w więzieniu pt. „The Man Died”. Jest to książka bardzo bolesna, gdyż Soyin- ka zapytuje: „Czy ci okrutni ludzie są naprawdę moimi braćmi? Czy ten odór jest śródowiskiem, w którym nauczy- lem się oddychać?” Władzom ta książ- ka nie spodoba się.

ŚWIATOWA 1973

nią. Oprócz studiów krytycznych uka- zały się jego dzieła zbiorowe.

Jeśli chodzi o powieść współczesną, to można wykryć dwa ogólne kierunki. Po pierwsze, tendencję do podkreśla- nia wyobraźni i humoru, bajek i fan- tacji. W tym duchu utrzymane są dwie książki, które uzyskały główne nagro- dy literackie w tym roku: Carlo Sgor- lona „Il Trono Di Legno” („Drewniany tron”) oraz zbiór opowiadań Achille Campanilego pt. „Manuale Di Conversazione” („Podręcznik konwersacji”). W ciągu roku ukazały się cztery pozyc- je J. Rodolfo Wilcocka, pochodzącego z Argentyny, pełne humoru, parodii i pure nonsensu, z których ostatnia nosi tytuł „Il Tempio Etrusco” („Świątynia Etruska”).

Drugą tendencją jest przepisywanie na nowo przez niektórych autorów swych poprzednich powieści. Najwy- raźniejszym tego przykładem jest nowa wersja opowiadań ferraryjskich Giorgio Bassanigo pod nowym tytu- łem „Il Romanzo di Ferrara I: Dentro le Mura”. Nawet najnowsza książka Italo Calvino, jak zwykle piękna, „Il Castello dei Destini Incrociati”, czę- ściowo podpada pod tę kategorię, gdyż jej pierwsza część była już opubliko- wana w 1969 r. Ukazał się nowy zbiór opowiadań Moravi pt. „Un Altra Vita” i subtelna powieść Natalii Ginsburg „Caro Michele”. Wydano też

pełny raport komisji do zwalczania mafii, ale w rzadko której księgarni można ten raport nabyć.

USA Elizabeth Hardwick

— Wydane w USA powieści takie jak Thomasa Pynchona „Gravity’s Rainbow” czy Philipa Rotha „The Great American Novel” traktują nasze życie i nawet nasze charaktery wyłącz- nie jako serię gestów, pól i improwizacji. Życie jest długą podróżą lotniczą i jeden przystanek nie łączy się z dru- gim, każdy dzień i każdy rozdział stanowią nowy początek. Indywidualny charakter i narodowa historia są płyn- ne i typowym sposobem wyrażania tego jest parodia. Styl stanowi o wszyst- kim. Przykładem tego jest Vonneguta „Breakfast of Champions”.

Interesująca książka z krawcowo od- miennych powodów jest powieść Gore Vidala „Burr”, która ma swe oparcie w rzeczywistej historii i traktuje prze- szłość jako ścieżkę prowadzącą do obecnych czasów. Jak dziwny jest jed- nak fakt, że to, co się obecnie dzieje w Waszyngtonie, przedstawiane jest w formie tradycyjnej powieści, rozgry- wającej się w XIX wieku. Aktualnym wydarzeniem poświęconą jest książka Arthura Schlesingera „The Imperial Presidency”. Obraz przemysłu samo-

PRZEDNIA to była inicjatywa przygotowania premiery „Wieczoru Trzech Króli” właśnie na dzień, a ściślej mówiąc — na wieczór Trzech Króli. Po raz pierwszy wystawił Teatr im. J. Osterwy Szekspirową „Twelfth Night”, bez mała przed dwudziestu dwoma laty, w marcu. Nie ten efekt, nie ten nastrój, rzecz jasna.

Ku czemu zmierzam?

Całe pokolenie historyków literatury tudzież krytyków teatralnych oplewały unisono poetyckość „Wieczoru Trzech Króli”. Otóż chcę wyznać otwarcie, iż zachwyty ich wydawały mi się długo nieco przesadne. Zuchwała, niemniej trochę zawstydzona, usiłowałam dociec, skąd mogło powstać owo powszechne mniemanie o poetyckości tej komedii. Tak naprawdę, najbardziej poetycko brzmi w niej czternaście wersów monologu Księcia Orsina rozpoczynającego sztukę (w lubelskim przedstawieniu — scena druga aktu II). Dobrze się więc stało, że nasz starannie opracowany program teatralny przytacza ten mo-

drzeja Chudogęby, z przyprawą soli attyckiej Błazna. Oslawiona miłość trzech postaci romantycznych „Wieczoru” została wszak zbanalizowana nadużyciem towarzyszących jej quiproquo autorów komedii czy nowel, z których Szekspir czerpał intrygę.

Zaiste dziwne wypadki po ludziach „chodzą”. Tyle razy musiałam się nudzić na znakomitym „Wieczorze Trzech Króli”, obsadzonym świetny-

mi niektórych sztuk szekspirowskich już poprzednio dobrze przełożonych. Po co, po co i dlaczego... et, dajmy spokój konstruowaniu wieloboków refleksyjnych! Podziękujmy raczej Dygatowi, że nie zrobił „parafrazy”. Zresztą coś niecoś wypadło u niego udajniej niż u Ulrycha, pogratulujmy np. choćby przywrócenia obcego brzmienia nazwom tańców w ustach Sir Tobiasza.

Muzyka Ryszarda Komorowskiego — ten bardzo ważny element poetycki widowiska (Szekspir w „Wieczorze Trzech Króli” chciał jej mieć jak najwięcej) — ma miłe, archaiczne zabarwienie, jakby wchłonęła esencję renesansowego muzykowania, z dowcipnym przy tym wtrętem anachronicznym — aluzją do marsza weselnego Mendelssohna. Ładnie pomyślane było uświetnienie opusu kompozycją Tadeusza Szeligowskiego w finalnej piosence Błazna.

Aktorzy? Brawo, brawo, po wielokroć brawo!

Ze wszech miar zasłużyła na nie Barbara Kozłarska — Maria nadobna, nad wyraz żwawa, podochocona zabawa, szybka w dosadnej ripostie i niekoniecznie obyczajnym goście. Zasłużyła Wanda Wieszczycka — w jej ujęciu postaci Violi skupiła się lwia część ściśle pojętej poezji komedii Wieszczycka coraz bardziej celuje w niuansach psychologicznych.

Niemal zrobiła dla Olivii nieco pobieżnie nakreślonej przez Szekspira — utalentowana Bożena Mrowińska. Wiodącemu Wisniewskiemu, naturalnie Sir Tobiasz, wykorzystaj całą daną do jego dyspozycji materię komediową — z właściwym mu temperamentem: Piotr Suchora zagrał Błazna ujęty i dynamicznie, a Paweł Nowisz w roli Malvolia, nie zaglądając uprzednio do programu po prostu nie poznałam, tak dalece był odmieniony, co na pewno świadczy o wielkim diapazone jego talentu. Ten Malvolio dygnitarsko zarozumiały, ograniczony intendent, orzeczający się w urojonego przez siebie amanta, spełnia wyborne zadanie nieodzownego w widowisku akcentu kontrastowego. Oceniając Chudogębę Edwina Petryka, z przyjemnością mogę stwierdzić, że młody aktor odtworzył trudną postać cum laude.

Oczekiwaloby się może więcej „romantyzmu” od Orsina, powierzonego Zbigniewowi Szejmanowi. Co prawda rola nie jest „pełnokrwista”, ale Szejman jest aktorem tak doświadczonym, że chyba ożywi ją w miarę możliwości na następnych spektaklach.

A oto pozostałe nazwiska aktorów, którym należy się dobre słowo za rolę drugoplanową i epizody (jedynie niedobór miejsca na łamach spowodował tu brak porządkownych ocen): Henryk Sobiechart — Fabian, Sylwester Woroniecki — Sebastian, Andrzej Wiśniewski — Antonio, przyjaciel Sebastiana; Kazimierz Siedlecki — Kapitan okrętu, ratownik Violi oraz Książę; Tadeusz Kudak — Valentino i Mieczysław Ostrowski, Curio, dworzanie Księcia; Witold Lisowski i Ryszard Kolaszyński, Strażnicy.

I last but not least — cenną ozdobą spektaklu są układy plastyczne i taneczne, które z wdziękiem maestrii choreograficznej Barbary Fijewskiej.

Rok 1974 dobrze się rozpoczął w Teatrze im. J. Osterwy, życzymy dalszych sukcesów.

Ponieważ J. Słotwiński wyreżyserował niemal „symultanicznie” z „Wieczorem Trzech Króli” godziwą pozycję dla Państwowej Operetki w Lublinie, warto odnotować i to lubelskie osiągnięcie teatralne. Dość dawno już nie słyszało się z rzeczonyj sceny tak przyjemnej muzyki, jaką przynosi „Róża Stambułu” Leo Falla, i tak dowcipnego dialogu, jaki wyszedł spod wytrawnych piór: Andrzeja Jareckiego, Ziemowita Feddeckiego i tegoż „renesansowo” uzdolnionego człowieka teatru — Józefa Słotwińskiego. Zwolennicy lekkiego genre'u otrzymali dowcipną inscenizację zakrojoną na ostrą groteskę. Z kolei dyrekcji Operetki w Lublinie należy życzyć dalszej współpracy z J. Słotwińskim oraz z Teresą Targońską, utalentowanym scenografem Teatru im. J. Osterwy.

Wesoły wieczór

Maria Bechcyc - Rudnicka



William Szekspir — „Wieczór Trzech Króli”. Barbara Kozłarska (Maria) i Paweł Nowisz (Malvolio).

Fot. CAF (Z. Jaśkiewicz)

nolog od słów Duchu miłości, szybki i polotny! / Kiedy pochłaniasz wszystko jak ocean... I dobrze też, że znajdujemy dalej Sonet 56 Szekspira (Sweet love, renew thy force...) w pięknym przekładzie Macieja Słomczyńskiego: *Słodka miłości, wróć, by nie mówiono / Ze siły twoje od twych pragnień słabsze...* Szczerozłota poezja obu cytat niejako sygnalizuje to, co zwykło się uważać w „Wieczorze Trzech Króli” za poetyckie — miłość Violi do Księcia Orsina.

Tylko że sceny Violi z Księciem są zawsze i wszędzie mniej... powiedzmy — atrakcyjne od rubasznych igraszek Tobiasza Czkwaki, dworki Marii i An-

mi silami aktorskimi, inscenizowanym przez renomowanych reżyserów, aż dopiero w dniu 6 stycznia 1974 r. przedstawienie teatru wojewódzkiego czyli tzw. „prowincjonalnego” (którego lepsze spektakle są wprowadzić bardziej „stołeczne” od niejednego warszawskiego) wykazało mi dobitnie, że poezji tej komedii nie należy szukać w nielicznych (na szczęście!) zdaniach o przygodowej miłości Księcia, Violi i Olivii, bo aura poetycka otacza całość sztuki, może nawet emanuje ona najaktywniej z cygańskiej beztroski jej scen krótkochwilnych, z dowcipnych, szelmowskich figlów płatanych przez czwórkę revellersów bawiących się w noc świąteczną.

Nie bez kozery nadał Szekspir utworowi podtytuł „Wszystko co chcecie”. Czego właściwie chciał sam? Może zwyczajnie żeby jego publika, elita towarzyska i prości ludzie, dobrze się, świątecznie zabawiła.

Toteż ustawił kontrapunktowo do hulaków (wyraźnie mu sympatycznych) i ośmieszył nudziarza Malvolia. Satyra na purytanów? A co nas dzisiaj niegdysiejsi purytanie obchodzą? Pośmiejmy się razem z Szekspirem z pseudomoralistów, z nakrochmalonych pryncypialistów, którzy, podobnie do Niemców, zapomnieli dziewiętnastowieczną niemiecką dewizę: *Man muss leben und leben lassen.*

Aktorzy Teatru im. J. Osterwy, realizując w dniu 6 stycznia publicznie koncepcję inscenizacyjną Józefa Słotwińskiego potrafilo wprowadzić widzów w odświeżony nastrój szekspirowski komedii „What you will”. Akcja toczyła się na tle dekoracji uroczalącej astrologią i wszelką fantastyką renesansową — jest to jeden z najbliższych projektów scenograficznych Jadwigi Pożakowskiej. I na pewno dodawały także werwy naszym „igrcom” jej kostiumy bajecznie kolorowe, jakby pochodzące ze szczęśliwego *nowhere*, złożone z tysiąca frymuśnych elementów i elemencików (wyobrażam sobie, ile musiały się natrudzić przy nich pracownice krawieckie teatru, a pracownia szewska — nad artystowsko cudacznym obuwie).

Wesołe to widowisko, rozpoczęte pomysłowo akustycznym obrazem burzy morskiej, rozgrywane się w tempie ekspresywnym, tryskające szampańskim humorem, jak na początek nowego roku przystało. Nieprzebrana tu mnogość tricków i gier. Widzowie pękają ze śmiechu, oczywiście nade wszystko podczas wielkiej sceny nabierania Malvolia, zwłaszcza kiedy grupka rozbrykanych żartownisiów krąży za napuszczonym panem intendentem, niedostrzegana przez niego, na zasadzie tradycyjnej konwencji, przyświecając mu w dodatku latarką do czytania „miłosnego” anonimu pióra psotnicy Marii.

Przewiduję, iż „francuskie pieski” delectujące się koziołkowaniem w inscenizacjach uznanych za awangardowe nie omieszkają prawie półgębkiem o „przeszarżowaniu” tej czy owej sceny, nie dostrzegając faktu, że lube im wybujałe ćwiczenia fizyczne sprawdziły się najlepiej, okazały się a propos właśnie w Szekspirowym, karnawałowo ucieśnym „Wieczorze Trzech Króli”, że tu są najbardziej dozwolone, albowiem nie wchodzą w kolizję z jakimś szczególnie ważkim dialogiem.

Skoro już jesteśmy przy dialogu, czas wspomnieć o tłumaczeniu Stanisława Dygata. Zbliżone jest ono w stylu do przekładu Ulrycha. Z jednej więc strony rzecz by można, że biorąc stary, dobry, swojsko technący myśką przekład ulrychowski teatr zaoszczędziłby trochę ekspensu w postaci tan-tiem wplacanych do Załeksu, ale z drugiej strony, dlaczego by nie miał zarobić u nas współczesny pisarz, a z trzeciej znów strony — po co pisarze współcześni, zamiast pisać komedie własne, bledzą się nad tłumaczenia-

Marian Janusz Kawalko

JESZCZE JEDNA ZALEŻNOŚĆ

umarli żyją w mojej tkwią pamięci
posłuszni zawsze by odejść na stronę
albo biec z piasku na siebie ukręcić
i karty oddać choć gry nie skończone
wyjść pod powieką na ostatnią walkę
złowroźnie przegrać lecz poświadczyć
za mną
zataić szczerze każdą na mnie skargę

I głosić milcząc że ciału to
ktoś stamtąd
umarli żyją przychodzą o zmierzchu
cicho
tak jakby nie było nikogo
gotowi oddać swój mit swoją przeszłość
za świecą wosku za oliwne słowo
umarli żyją
póki my żyjemy

Henryk Makarski

PYTANIE NA WIECZORZE AUTORSKIM

„panie Makarski ile pan zarabia
na tej poezji miesięcznie
pewnie samochód i wille zbuduje się
za wiersze

być poetą to jest coś
ho ho ho
taki Mickiewicz na przykład
był wieszczem
może i ja panie Makarski

za te poezje sie wezme
dorobić trzeba coś do pensji no nie
no to ile panu płaco
za wiersz
.....
tylko ???!!
eooooo...
o ja myślałem
że poezja
to wieeeelka rzecz.”

JULIAN Kornhauser opublikował do tej pory dwa tomy wierszy, a recenzjami i uwagami o jego twórczości można z powodzeniem obdzielić kilku autorów i żaden nie powinien mieć powodu do skarg, że jest przez krytykę pomijany. Przyczyn jest kilka, jako pierwszą wymienię „silną indywidualność”, którą przyznaje mu nawet krytyk tej miary co Jerzy Kwiatkowski („Twórczość” 1973 nr 10). Nie to — przy uzupełnieniu, że chodzi o indywidualność artystyczną — jest jednak podstawą. Na pierwszym miejscu stawiałbym bowiem przynależność do grupy „Teraz”, której programu negatywnego jest współtwórcą i — co za tym idzie — działalność publicystyczną. Nie znaczy to, że wydaje mi się ta poezja mało ważką, by zapłodnić pióra krytyków — tylko dlatego, że sama oryginalność światopoglądu i realizacji poetyckiej tak dużego zainteresowania nie obiecuje. Stanowi to kontynuację zjawiska starego w kulturze polskiej, a wyrażonego niedługo *expressis verbis* przez Wiktora Gomułki na łamach wspomnianego niemal „Zdroju”. Pisząc o gehennie poezji polskiej — być może w nieco przejęskrawionych wymiarach — nakreślił Gomułka obraz niemal uniwersalny.

Jeżeli uwypukliłem rolę publicystyki Kornhausera, to muszę natychmiast dodać, że — w moim przekonaniu — nie stanowi ta publicystyka parawanu, za którym autor może sobie do woli składać słowa i obrazy, ale jest w odniesieniu do działalności stricte poetyckiej pełnoprawnym uzupełnieniem.

Przykład Juliana Kornhausera jest o tyle indywidualny, o ile indywidualna, oryginalna jest jego poezja. Twórczość ta podlega jednak wszystkim parciom, na jakie narażona jest realizacja poetycka debutantów, których pierwsze tomy ukazały się w ciągu ostatnich dwu lat. Znacznie łatwiej było bowiem Grochowiakowi tańczyć menueta z pogrzebaczem, Harasymowiczowi wybierać się na wędrowki po beskidzkich cerkiewkach, niż zajmować się problemami istotnymi dla dzisiejszego człowieka, wykazywać „falszywą świadomość (...) rówieśników”. O aprobatę przy takim założeniu trudniej, trudniejsze staje się również przekonanie odbiorcy, że nie ma on do czynienia z jeszcze jednym wybiegiem, deklaracją bez pokrycia, o tyle nową, że podpisaną nowym nazwiskiem.

Cytowane ostatnio słowa pochodzą z zbiorowej publikacji grupy „Teraz”. Sięgnijmy tam raz jeszcze, bacząc, iż kwintessencja programu grupy wyszła właśnie spod pióra Juliana Kornhausera. Czytamy: „Chcemy być współczesni, a nie poetyccy”. To krótkie zdanie informuje nie tylko o chęci uczestniczenia w problemach ważnych „teraz”, ale — jednocześnie — uzasadnia kłopoty sporej części recenzentów związane z odbiorem tomu „Nastanie święto i dla leniuchów”, dla którego trudno było znaleźć tradycję. Jednocześnie — a nie ma tu paradoksu — zdanie to odsyła do konkretnej tradycji literackiej, tyle, że

Julian ante portas

Stanisław Jan Królik

u nas zrealizowanej jedynie na marginesie twórczości nielicznych poetów — do surrealizmu. Z powodu ograniczonego miejsca trudno wdawać się w teoretyczne usytuowanie działalności poetyckiej Kornhausera w tradycji surrealistycznej. Koniecznym jednak wydaje się napomknąć, że o ile np. Mieczysław Jastrun od pewnego czasu stosuje konkretne „chwyt” surrealistyczne, to w tym wypadku bardziej znaczące jest nawiązanie do „światopoglądu” — do tego, co po pięćdziesięciu latach zachowało wartości na gruncie polskim wyeksplloatowane. Nawiązanie do surrealizmu jest typowe dla literatury, filmu i malarstwa światowego, poczynając gdzieś od 1906 roku.

Wyjmijmy kilka wersów z wiersza „Ameryka” („Nastanie święto i dla leniuchów”):

*Światła. Nocą. Wspomnienie łaki. Zaby zabijają
uryną, napisała Sasza Vegri. Wierzbą z mnóstwem
kolorowych, przeważnie niebieskich wstążek. Powiewają
na wietrze. Coś o lekcjach religii. Ksiądz, dziupla,
grudka gliny. Bieg harcerski na jakimś krótkim
dystansie. Uregulowaliśmy potok, podnoszona śluzka. Patrz,
jaka ciepła woda. (...)*

Ten amalgamat równoważników i krótkich zdań, które nie zawsze mają ze sobą wiele wspólnego, jawi się początkowo jako bełkot. Następnie — po party tytułem: „Ameryka” — zmusza do odbioru całości, jako migotania neonów rozświetlonego miasta, wreszcie do odbioru obrazu tego „miasta”, w którym człowiek narażony jest na zalew najzupełniej różnych — często sprzecznych — sygnałów, nakazów, pouczeń. Że nie jest to odbiór bezzasadny przekonana nas fragment utworu „Hasła” („Nastanie święto...”):

*Socjalizmu pełne tramwaje, chłopcy siedzą
na stopniach z rogatywkami w rękach, szykują
ortom królewskie ozdoby. Wolają ze szkolnych
czytanek. Papierowe okrętki nawet nie
z ślawniej wojny zamurowań! powstają, nie znając
alfabetu, ci co: ojczyzna, ojczyzna, krzyżem!
jak deptane piaki. Wojna, jako wojna, socjalizm,
jako socjalizm, Algieria jako Algieria, ja jako ja.*

W wierszach Kornhausera korespondują ze sobą bardzo odległe okresy zdaniowe, przedzielone wtrąceniami, do których z kolei dopisane są dopełnienia. Te często niedokończone, zawieszane w próżni. Stąd kłopoty interpretacyjne, których w tomie „W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów” autor jest świadom:

*Kiedy odbieram legitymację ciężką jak kłof
którym recenzenci kruszą skalę surrealizmu
(szczególnie ciężko pracuje Andrzej Ziemiowicz
i Tadeusz Szyma, chciałbym otrzeć im pot z czoła)
nie wiem kto przegrał
(„Rośnie mi legitymacja”)*

W cytowanych pięciu wersach właściwą „treść” wiersza niesie siedem słów: „Kiedy odbieram legitymację [chodzi o legitymację ZLP — S.J.K.] (...) nie wiem kto przegrał”, reszta jest dopełnieniem, wreszcie dygresją. Ta „treść” podstawowa” wiersza (dalej bardziej skomplikowana) pozwala się wyłączyć przy zastosowaniu opuszczeń. Znacznie trudniej jest przy wydzieleniu dygresji o recenzentach. Wtedy tekst staje się niepodzielny, bo konieczne uzupełnienie myśli zajmie więcej miejsca niż sama dygresja. Jesteśmy przy zasadzie konstytutywnej (organizującej) wierszy Kornhausera. Wiersz stanowi tutaj zamkniętą całość, „wielką metaforę”. Podczas analizy (czy oceny) nie wystarczy przyglądać się zestawieniu słów najbliższych. Nie wystarczy wziąć jedną metaforę, by — jak chciał kiedyś Przyboś — ocenić oryginalność poety. Jednostką podstawową jest cały wiersz, zapisany bardzo często „jednym tchem”. Już w „Nastanie święto i dla leniuchów” żywiłowy, napięty — jeszcze bardziej spętowało się to w tomie „W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów”.

Surrealizm nie stanowi jedynej tradycji, do jakiej odwołuje się poezja Kornhausera — mimo że łączy ją z surrealizmem aktywność publicystyczna, bezparadonowa i dla całej działalności pisarskiej pełnoprawna. Kolejnymi ogniwami tradycji będą również: ekspresjonizm, imażynizm, katastrofizm (szczególnie pokolenia wojennego) i ambitniejsze propozycje pokolenia „Współczesności”. Wszystko to (plus osiągnięcia poezji iligwistycznej) przetworzone jest przez talent autora do tego stopnia, że tak jak w przypadku surrealizmu, — powrót do tego zjawiska stanowi zaprzeczenie wielu wcześniejszych — wymieniliśmy przykład Jastruna — nawiązań. Kornhauser „sięga” do surrealizmu, by tam szukać możliwości nawiązania kontaktu z licznym czytelnikiem, kontaktu bezpośredniego. Jeżeli tylko można porównać — a sztuki plastyczne pozostają od dłuższego już czasu w najsilniejszym związku z poezją — ustaloną tradycją ma stanowić to, czym dla malarstwa są dzisiaj obrazy Bacona: drogę do „nowej figuracji”. Tak widzę „realizm nienawny” Kornhausera.

Sennik egipski

Tęgo jeszcze nie było! Jeden z przyjaciół „Kamery” odkrył w szparach swojej ciotki stary sennik egipski. Niestety, w postrzępionej i potłukłej książce wydartą została strona, z której można by się zorientować, kiedy sennik wydano. Ten szczegół nie jest jednak istotny. Fakt jest, że sennik przetrwał próbę czasu i sprawdza się dzisiaj, w dobie lotów na księżyc! Naszemu przyjacielowi kni się właśnie a n t y c h r y s t i c ó z się okazało? W pracy potrącono mu premie, a szef namyślał mu od ostatnich. Innym razem naszemu przyjacielowi przynił się a m o n i a k. Następnego dnia żona zrobiła mu piekielną awanturę z powodu pewnej pięknej brunetki (adres znany redakcji).

To wszystko skłoniło nas do druku sennika. Wypełniamy w ten sposób poważną lukę wydawniczą i wychodzimy naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu. Sennik radzimy wycinać, wkładać do zeszytu. Gdy skompletuje się całość, będziemy Szanowni Państwo pierwszorzędnymi ekspertami w tej dziedzinie, czego już dziś serdecznie życzymy. A stoją drogą mamy nadzieję, że tym razem „Literatura” nie skorzysta z naszego pomysłu.



A

- Abażur — spokój, zadowolenie.
- Abecadło — korzystaj z dobrych rad.
- Abnegata widzieć — ostrzeżenie przed złym towarzystwem, które może ci przynieść wstyd.
- Abnegatem być — wstyd.
- Abonament płacić — zadowolenie.
- Adiutantem być — poznasz czyjeś sekrety.
- Adiutanta widzieć — zabawa w miłym towarzystwie.
- Admirał — daleka podróż.
- Adoptować kogoś — nowe obowiązki.
- Adorować świętych — doznanie pociechy.
- Adorować człowieka — niewdzięczność.
- Adwent wesoly — choroba.
- Adwent smutny — zadowolenie ze spełnionego czynu.
- Adwokat — niewesołe sprawy.
- Aeroplan — zamiary, z których nic nie będzie.
- Aflisz rozwieszać — będziesz wezwany na świadka.
- Aflisz czytać — ciekawe wiadomości.
- Afront komuś zrobić — niezadowolenie.
- Agonia — nowe życie.
- Agrafka — milczeć, a zrobisz dobry interes.
- Agrest dojrzały — miła wiadomość.
- Agrest niedojrzały — złe wiadomości.
- Agronom — ugruntowana przyszłość.
- Aktora widzieć — strata pieniędzy przez pożyczkę.
- Aktorem być — obłuda, kłamstwo.
- Akacja-kwiaty — dobre interesy.
- Akacja-drzewo — ostrzeżenie przed hazardem.
- Akademia — uczęszczać — żmudna praca.
- Akademik — wesole przygody.
- Akcje kupować — niepewne interesy.
- Akcje sprzedawać — niekorzystne kupno.
- Akcjonariuszem być — zawikłane sprawy, z których wynikną wielkie nieprzyjemności.
- Akcept podpisywać — kłopoty, wydatki.
- Akcept odbierać — niepewny interes.
- Akrobatę widzieć — przewyciężenie trudności.
- Akrobatą być — niebezpieczeństwo.
- Akuszerka — wypadek w domu.
- Aksamit kupować — dobrobyt.
- Aksamit nosić — ubóstwo.
- Akwarium — planowanie nowych interesów.
- Akwarium z rybkami — drobne zyski.
- Alabaster (marmur) — wytworne towarzystwo.
- Alarm — ostrzeżenie przed oszustwem.
- Aleja — iść nią — dobre widoki na interesy.
- Aleja — widzieć — spotkasz osobę, której dawno nie widziałeś.
- Alkohol pić — zdrada przyjacielska.
- Alkohol kupować — popelnisz jakieś głupstwo.
- Alkohol otrzymywać w prezencie — będziesz narażony na pokusę, która ci może przynieść przykre następstwa.
- Alkohol dawać — będziesz mimo woli przyczyną awantury.
- Alkohol nalewać — bezmyślne postępowanie, które przyniesie ci pewną utratę powagi.
- Alimenta płacić — awantura o kobietę.
- Alimenta otrzymać — wybrnięcie z trudnej sytuacji.
- Alleluja śpiewać — radość.
- Amaranty — być przybranym — zaszczyty, wyróżnienia.
- Amaranty widzieć — nieosiągalne zaszczyty.
- Amazonka — przykrości z powodu towarzystwa lekkomyślnej osoby.
- Ambona — wyrzuty sumienia z popelnionego jakiegoś czynu.
- Ambona z księdzem — przestroga przed grzechem.
- Amnestia — otrzymać ją — wyjście z kłopotów.
- Amoniak — przykrości od najbliższych w domu.
- Amor — miłosne zabiegi; wyznania miłosne.
- Amunicja — poprawa bytu materialnego.
- Anegdota opowiadać — popelnienie niedyskrecji.
- Anegdota słuchać — plotki, obmowa.
- Anglik — obcować z nim — groźni wierzyciele.
- Anglika widzieć — interesowny przyjaciel.
- Anioł — pomyslnie wieści.

Dalszy ciąg nastąpi

Kultura 1974

Zmarli

● 43-letni Lech Pijanowski, M-terat, tłumacz poezji Pabla Nerudy, krytyk filmowy i telewizyjny, absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej.

● Znakomity pianista radziecki, 67-letni Lew Oborin. W roku 1927 zdobył on pierwszą nagrodę na warszawskim Konkursie Chopinowskim. Od tego czasu wielokrotnie występował w naszym kraju.

● 102-letni Henri Busser, uczeń Gounoda, dyrygent i kompozytor, m. in. oper „Dafnis i Chloé” oraz „Trzech sultanów”.

Literatura

● Doroczne nagrody literackie „Kulturę” za rok 1973 otrzymali: Henryk Panas za książkę „Według Judasza (apokryf)” i Edward Redliński za książkę „Konoplekta”.

● PIW przygotowuje osobne edycje, ilustrowane zdjęciami z filmów „Potopu” (nakład 200 tys. egz.) i „W pustyni i w puszczy” (nakład 200 tys. egz.).

● Na Uniwersytecie Technicznym w Warszawie odbyło się trzdzińowe sympozjum międzynarodowe, poświęcone twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego. Poza obradami pokazano spektakle oparte na jego dziełach oraz otwarto wystawę jego rękopisów, fotografii i pierwszych wydań. W repertuarze koncertów przedstawiano muzykę Chopina i Wieniawskiego.

● Po raz czwarty przebywał w Warszawie poeta chorwacki średniego pokolenia i tłumacz

Literatura

poezji polskiej — Milivoj Slavić. Kończy on przygotowywanie antologii poezji polskiej lat 1939—1973, która obejmie około 30 nazwisk.

● Znakomity pisarz radziecki Konstanty Simonow, który niedawno przebywał w Warszawie, ukończył liczące ponad tysiąc stron druku „Dzienniki”, obejmujące lata 1942—1945 i których akcja częściowo odbywa się w Polsce.

● W roku ub. w Bułgarii największym powodzeniem cieszyła się literatura klasyczna, a następnie książki ekonomiczne. Z zagranicznych klasyków najbardziej poszukiwano dzieł J. J. Rousseau, Byrona, Remarque'a i Hemingwaya.

Literatura

● Doroczne nagrody literackie „Kulturę” za rok 1973 otrzymali: Henryk Panas za książkę „Według Judasza (apokryf)” i Edward Redliński za książkę „Konoplekta”.

● PIW przygotowuje osobne edycje, ilustrowane zdjęciami z filmów „Potopu” (nakład 200 tys. egz.) i „W pustyni i w puszczy” (nakład 200 tys. egz.).

● Na Uniwersytecie Technicznym w Warszawie odbyło się trzdzińowe sympozjum międzynarodowe, poświęcone twórczości Josepha Conrada-Korzeniowskiego. Poza obradami pokazano spektakle oparte na jego dziełach oraz otwarto wystawę jego rękopisów, fotografii i pierwszych wydań. W repertuarze koncertów przedstawiano muzykę Chopina i Wieniawskiego.

● Po raz czwarty przebywał w Warszawie poeta chorwacki średniego pokolenia i tłumacz

no, że do tego dość ekskluzywnego dotąd związku mogą być wreszcie przyjmowani plastycy, którzy nie posiadają dyplomu wyższej uczelni, ale są rzeczywiście plastykami. Tego od dawna już domagał się m. in. nasz kolega I. J. Kamiński. Ale ja, profan plastyczny, sadzę jednak, że do statutu ZPAP powinno się wprowadzić jeszcze jedną zmianę: posiadanie dyplomu nie powinno automatycznie uprawniać do nabycia członkostwa. W obu przypadkach bowiem powinien decydować przede wszystkim rzeczywisty dorobek twórczy, a nie papiererek lub koneksje.

Teatr

● Sztuki Sławomira Mrożka można obejrzeć obecnie na dwóch scenach. Krakowski Teatr im. Słowackiego prezentuje „Szczęśliwe wydarzenia”, a Teatr Kameralny we Wrocławiu trzy jednoaktówki: „Karol”, „Zabawa” i „Na pełnym morzu”.

● Szczeciński teatr dla dzieci „Pleciuga” przez dwa tygodnie występował w Homlu i Wilnie.

● Stanowy uniwersytet w Baltimore w USA otrzymał nowoczesny gmach Sztuk Pięknych. Działalność rozpoczęto wystawieniem sztuki Witkacego „Guybal Wahazar”.

● Paryski Theatre Europeen przygotowuje się do wystawienia serii „spektakli grozy”. Animatorem jest 27-letni Gerard Croca, który jednak nie chce zdradzić, czym zamierza przerazić widzów.

● Senegalski Teatr Narodowy im. Daniela Sorano w Dakarze

Teatr

no, że do tego dość ekskluzywnego dotąd związku mogą być wreszcie przyjmowani plastycy, którzy nie posiadają dyplomu wyższej uczelni, ale są rzeczywiście plastykami. Tego od dawna już domagał się m. in. nasz kolega I. J. Kamiński. Ale ja, profan plastyczny, sadzę jednak, że do statutu ZPAP powinno się wprowadzić jeszcze jedną zmianę: posiadanie dyplomu nie powinno automatycznie uprawniać do nabycia członkostwa. W obu przypadkach bowiem powinien decydować przede wszystkim rzeczywisty dorobek twórczy, a nie papiererek lub koneksje.

Teatr

● Sztuki Sławomira Mrożka można obejrzeć obecnie na dwóch scenach. Krakowski Teatr im. Słowackiego prezentuje „Szczęśliwe wydarzenia”, a Teatr Kameralny we Wrocławiu trzy jednoaktówki: „Karol”, „Zabawa” i „Na pełnym morzu”.

● Szczeciński teatr dla dzieci „Pleciuga” przez dwa tygodnie występował w Homlu i Wilnie.

● Stanowy uniwersytet w Baltimore w USA otrzymał nowoczesny gmach Sztuk Pięknych. Działalność rozpoczęto wystawieniem sztuki Witkacego „Guybal Wahazar”.

● Paryski Theatre Europeen przygotowuje się do wystawienia serii „spektakli grozy”. Animatorem jest 27-letni Gerard Croca, który jednak nie chce zdradzić, czym zamierza przerazić widzów.

● Senegalski Teatr Narodowy im. Daniela Sorano w Dakarze

wystawił z obywatelką powołaniem salutek Abdu Alty Ka pt. „Amazulu”. Jest to dramat historyczny o zjednoczeniu wielu szczepów afrykańskich.

Sztuka

● Międzyresortowe kolegium porozumiewawcze przy ministrze Kultury i Sztuki obradowało nad zastosowaniem wzornictwa plastycznego w produkcji oraz ochroną przed uszkodzeniem lub zniszczeniem obiektów zabytkowych, przekazanych w użytkowanie różnym instytucjom i przedsiębiorstwom.

● W konkursie na opowieść obrazkową, zorganizowanym przez RSW Prasa — Książka — Ruch, pierwsze nagrody nie przyznano. Dwie równorzędne drugie otrzymały prace Ewy Ty i Olgi Slemazkowej.

● W obecności wiceministra Kultury i Sztuki Tadeusza Kaczmarska i ambasadora Francji w Polsce Louis Dauge — otwarto w warszawskiej Zachęcie wystawę Edouarda Pignona, jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy francuskich.

● W Polskim Ośrodku Informacji w New Delhi eksponowane 85 rysunków dzieł polskich, nadesłanych na konkurs pt. „Indie — co wiem o tym kraju, jak go widzisz?”. Rysunki będą prezentowane także w innych miastach Indii.

● Jedną z amerykańskich stacji telewizyjnych poświęca godzinę programu na przedstawienie dorobku artystycznego polskiego rzeźbiarza Mariana Owczarskiego, zamieszkałego w Orchard Lake.

Muzyka

● Doroczne nagrody Związku Kompozytorów Polskich na rok 1974 otrzymali: prof. dr Stefan Słodziński oraz dr Józef Paikowski.

● W radiowym konkursie na pieśń estradową i piosenkę pierwszej nagrody nie przyznano, drugą zdobyła piosenka „Bądź z nami i wśród nas” z muzyką Mariana Zielińskiego do słów Janusza Kondratowicza.

● Teatr Wielki w Łodzi przypominał prawie nieznana operę Romana Świątkowskiego „Filenia”. Reżyserował Antoni Majak.

● 22 osoby kształcą się na uruchomionym w grudniu przez szwedzką Estradę dwuletnim studium estrady i piosenki.

● 80-letni Bolesław Mierzejewski, którego niedawno widzieliśmy i słuchaliśmy w telewizji, występuje stale w katowickim Teatrze Piosenki, prezentując doskonale stare przeboje.

● Orkiestra symfoniczna Filarmonii Narodowej przebywa na trzecim tournée w USA. Wystąpi ona z 38 koncertami w 37 stanach, połowę repertuaru stanowią dzieła kompozytorów polskich.

● Moskiewski Teatr Wielki Opery i Baletu przygotowuje inscenizację „Gracza” Fiodora Dostojewskiego z muzyką Prokofiewa.

● W Chińskiej Republice Ludowej unieszczone na indeksie utwory Ludwika van Beethovena i Franza Schuberta, ponieważ „są one wyrazem mentalności burżuazyjnej i kapitalistycznej”.

Film i telewizja

● Zespół angielskich krytyków filmowych, opracowujących listę dziesięciu najlepszych filmów ub. roku, zaliczył do nich także „Wesele” Andrzeja Wajdy.

● 1 stycznia powstała w Warszawie telewizyjna wytwórnia filmów „Pol-Tel”, która będzie posiadała oddziały w Katowicach i Krakowie.

● Mamy obecnie w kraju 360 dyskusyjnych klubów filmowych, grupujących około 40 tys. członków. W ciągu 18 lat od chwili powstania pierwszych klubów wyświetlono w nich 150 filmów, które nie znalazły się w normalnym rozpowszechnianiu.

● Polski serial telewizyjny „Wielka miłość Balzaka” w reżyserii Wojciecha Solarza prezentowany jest na ekranach telewizji radzieckiej. „Literaturna Gazeta” z tej okazji publikuje rozmowy z autorem scenariusza Jerzym Stawińskim oraz Beatą Tyszkiewicz (Hańska).

● Kto z nas nie lubi oglądać na ekranie radzieckich trojęk Mistrzem powołania jest Wiadimir Formin. W czasie filmowania leży on pod siedzeniem i kieruje kołmi, aktor zaś, którego widzimy, tylko trzyma „puste” lejce.

● Amerykańska wytwórnia „American International Pictures” produkuje masowo filmy tzw. superhorrorów, w których rol się od scen gwałtu, mordów, nawet kanibalizmu. Oto wyjątek z reklamy tych filmów: „Gwarantujemy, że ze strachu wysockyście ze skóry, dlatego do biletu dodajemy plastikowy worek”. Niektórzy widzowie rzeczywiście nie wytrzymują i worek okazują się potrzebny...

Lubliniana

● Budynek przy ul. Sieroczej 24 będzie przekształcony na Muzeum im. Bolesława Bieruta, który, kiedyś mieszkał w tym domu. Obecnie trwają tam roboty remontowe, które mają być zakończone w czerwcu.

● W październiku ub. roku kilkunastu rolników z powiatów puławskiego i bełżyckiego, którzy na początku wojny brali udział w ratowaniu ewakuowanych araszów wawelskich, otrzymało odznaczenia państwowe. Potem zwiedzili oni Wawel. Ostatnio na spotkaniu w Kazimierzu członkom rodzin osób, które także miały swój udział w ratowaniu araszów, a już zmarli, wręczono listy z podziękowaniami od ministra Kultury i Sztuki.

● Wśród 60 tytułów, przygotowanych na rok bieżący przez Wydawnictwo Lubelskie, znajduje się m. in.: Wacława Gralewskiego „Bieg po krawędzi”, Marli Bieńczy-Rudnickiej „Uchylenie masek”, Heleny Platty „Biegnij górą” oraz Adolfa Leckiego „Przygoda nad siedmioma źródłami”.

● Muzeum na Majdanku zwiększyło w tym ub. ponad 182 tys. osób, w roku 9 tys. cudzoziemców z 26 państw. Dla zwiedzających 500 razy wyświetlano filmy, związane z tym obozem.

nowy i notki

W związku z Panoramą Województw w Warszawie, „Express Wieczorny” w nr 12 zamieścił dwie informacje o woj. lubelskim. Na str. 2 można było przeczytać, że udział Lubelszczyzny w wartości produkcji przemysłu krajowego wynosi 3,3 proc., a na str. 3 — że 3,4 proc. Różnica niby mała, ale chodzi przecież o jakieś pół miliarda złotych. Widocznie taka suma dla warszawskiej popołudniówki nie ma większego znaczenia.

Niezbadane są wyroki Merkurego, który patronuje naszemu handlowi. Oto ostatnio ze sprzedaży w sklepach papierniczych wycofano papier ścierny. Po długich dochodzeniach udało mi się ustalić, że — aby nasze życie było ciekawsze — papier ścierny będzie można kupować w sklepach z artykułami metalowymi. Będzie można — bo na razie w jednym go już nie ma, w drugich jeszcze nie ma. Jak tak dalej pójdzie, wykalczki będziemy kupowali w przychodniach zdrowia.

W pierwszych dniach stycznia otwarto wreszcie po remoncie „Nore”, chociaż pierwotnie miał się tam odbyć bal sylwestrowy jeszcze w roku 1972. Lokal jest pięknie urządzony, powiększony i można tam zjeść doskonale serniki w czekoladzie. Co będzie dalej — usłyszymy, zobaczymy i posmakujemy.

Od dłuższego czasu telewizja i niektóre dzienniki centralne reklamują uparcie podgrzewacze pokarmu dla niemowląt, czyli tzw. „Bobasy”. Bardzo potrzebny przedmiot — tylko że w Lublinie nie można go nigdzie kupić. W „Argedzie” spece od tzw. techniki handlu powiedzieli mi, że jakąś małą ilość (sami nie wiedzieli ile) sprowadzono jesienią, ale ponieważ nikt ich wtedy nie kupował, podgrzewacze uznano za buble i więcej już nie zamówiono. A jeżeli teraz gdy jest zimno klienci chcą podgrzewac pokarm, niech mają pretensje do przyrody, a nie do „Argedu”, który nie jest obowiązany przewidywać, że po jesieni będzie zima i nie musi wiedzieć, że niemowlętom powinno się podawać ciepłą strawę.

Na walnym zjeździe Związku Polskich Artystów Plastyków w Olsztynie postanowio-

no, że do tego dość ekskluzywnego dotąd związku mogą być wreszcie przyjmowani plastycy, którzy nie posiadają dyplomu wyższej uczelni, ale są rzeczywiście plastykami. Tego od dawna już domagał się m. in. nasz kolega I. J. Kamiński. Ale ja, profan plastyczny, sadzę jednak, że do statutu ZPAP powinno się wprowadzić jeszcze jedną zmianę: posiadanie dyplomu nie powinno automatycznie uprawniać do nabycia członkostwa. W obu przypadkach bowiem powinien decydować przede wszystkim rzeczywisty dorobek twórczy, a nie papiererek lub koneksje.

Po tournée naszych hokeistów w Kanadzie „Życie Warszawy” (nr 12) napisało: „Nasi chłopcy dostali szkołę twardą, bezpardonowej walki (kontuzje m. in. odnieśli Fryziewicz, Bartkiewicz i Piecko), z której często wychodzili zwycięsko. Kiedy gospodarze zobaczyli, że z Polakami nie przelewkę — dawali im coraz silniejszych przeciwników”. To prawda, że hokej na lodzie nie jest sportem dla grzecznych dzieci. Ale czym stał się teraz w opinii red. Rzeszota, autora tych sformułowań i wiceprezesa PZHL?

Jak wiemy, na indywidualne wyjazdy zagraniczne otrzymuje się teraz po 130 dolarów, w roku ub. po 120. Tymczasem „Imi” czyli „Ilustrowany magazyn turystyczny Światowid” wleź prowadził rubrykę pod hasłem „Europa za 100 dolarów”, w nr 778 polecając Hiszpanię. Czyżby za pozostałe 30 dolarów należało zaprenumerować w Madrycie „Imi”?

„Barchanowe desusy przyczyną Twoich małżeńskich niepowodzeń. Kup pończochy stilonowe”, „Kobieta bez pończoch jest jak jabłko bez skórki”, „Sprawdź na sobie jakie rezerwy meskiej zdobyczości i szarmanckości tkwią w twoim ukochanym” — oto kilka sloganów reklamowych naszych zakładów ponczosniczych, przytoczonych przez „Dookoła świata — tygodnik ilustrowany dla młodzieży”. A potem się dziwimy, że ta młodzież... itd.

Na zakończenie chciałbym uprzedzić Urząd Miasta Lublina, że jeżeli w drodze do pracy ulegną wypadkowi, tenże Urząd będzie musiał ponieść koszty mego leczenia oraz zapłacić mi wysokie odszkodowanie. Jesienią bowiem rozkopano chodniki na ul. Hempla i Narutowicza (od Okopowej do naszej redakcji), co tam grzebano w ziemi, ale potem płyt nie położono i teraz zamiast połowy chodnika są zdradliwe wykroty, a drugą połowę najczęściej zajmują sterty śniegu. I żadne przedsiębiorstwo miejskie tym się nie przejmuje.

JOD

ekran i widz

Gangsterzy i policjanci

Prezentując w świątecznym numerze „Kamena” reżyserów amerykańskiej filmowej „Nowej Fali”, wymieniałem m. in. nazwisko Williama Friedkina. I oto właśnie jego głosy „Francuski łącznik” wszedł na ekran kina „Kosmos”. Ten świetnie zrealizowany dramat kryminalny, a może bardziej odpowiedniej byłoby tutaj określenie: „policyjno-gangsterski”? — zaliczany do najbardziej kasowych filmów ostatnich lat, stał się przede wszystkim ogromnym sukcesem artystycznym jego twórców. Amerykańska Akademia Filmowa w Los Angeles nagrodziła „Francuskiego łącznika” w 1972 r. aż pięcioma „Oscarami” — za najlepszy film roku, reżyserię, scenariusz będący adaptacją utworu literackiego, montaż oraz rolę pierwszoplanową, kreowaną przez stonkszoplanowo mało znanego dotąd aktora, Gene Hackmana, którego polska publiczność oglądała kilka lat temu w „Cyrku straconców”.

Krytyka filmowa przyjęła „Francuskiego łącznika” entuzjastycznie. Pisano po premierze tego filmu, że „otwiera on nowy etap w historii kina kryminalnego. Epoka „czarnego filmu” i „thrillera” skończyła się ostatecznie. W klasycznej utworach tego nurtu dominowała napęta atmosfera, dziś reżyserzy amerykańscy stawiają wyłącznie na akcję. Wczorajsi prywatni detektywi (...) ustępują miejsca funkcjonariuszom policji, których działalność zajmuje nas już tylko od strony profesjonalnej”. Zaś sam Friedkin wyraził się dość „obrazoburczo”, że dla niego najważniejszymi elementami filmu są widowskość i akcja, i że publiczność ma już dość filmów, które w sposób abstrakcyjny wyrażają stan ducha i problemy wewnętrzne człowieka. Może łatwiej będzie zrozumieć taką właśnie postawę jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że William Friedkin przez wiele lat związany był z filmem dokumentalnym i metoda „dokumental-

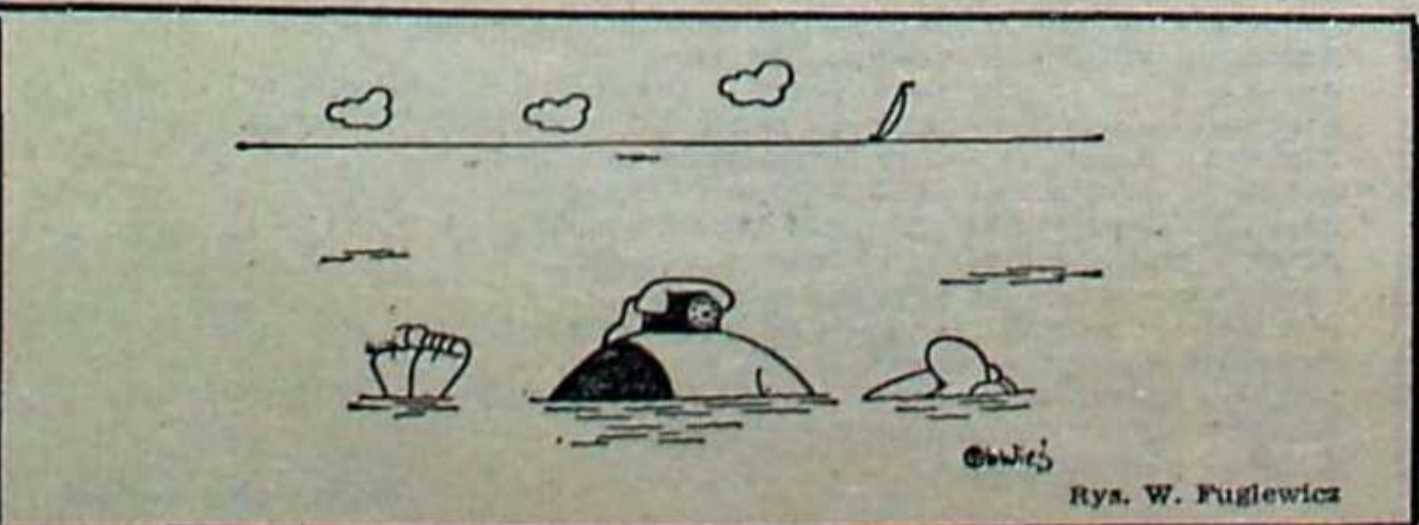
styczna” odgrywa bardzo ważną rolę w jego filmach fabularnych.

Zresztą w wypadku „Francuskiego łącznika” sam temat parucał przyjęcie koncepcji półdokumentu: reżyser i scenarzysta (Ernest Tidyman, twórca postaci bardzo popularnej wśród publiczności zachodniej — ciemnoskórego detektywa Shafta) pisali scenariusz oparty o książkę — reportaż Robina Moore'a, dotyczącą słynnej afery przemytu narkotyków, w którą wmieszany był znany dziennikarz francuski, Jacques Angelin. Było to więc w pewnym stopniu „odtworzenie” na taśmie filmowej autentycznych wypadków i zdarzeń. Więcej jeszcze: konsultantem technicznym we „Francuskim łączniku” został nowojorski inspektor policji Eddie Egan, którego postać — pod zmienionym nazwiskiem — odtwarza Gene Hackman.

„Dokumentalność” filmu Friedkina nie sprowadza się jednak do samej fabuły; jest on zarazem „reportażem” o metodach pracy nowojorskiej policji — sposobie organizowania obław, posługiwaniu się bronią, języku jakiego używają policjanci. Daje wreszcie „Francuski łącznik” obraz świata gangsterskiego — nie ten, wydumany przez pisarza w zaciszu gabinetu, ale oparty na rzetelnej wiedzy ludzi zajmujących się profesjonalnie tym tematem.

Nowoczesna i doskonale działająca maszyna policyjna staje tutaj do walki z równie doskonale działającą organizacją świata przestępczego, a wywalczona z trudem zwycięstwo dobra nad złem zawiera w sobie nierzadko gorzki cień porażki. Jakże daleko odbiega w swej wymowie „Francuski łącznik” od beztróskiego „Wroga publicznego Nr 1”, od całej galerii francuskich „zabawnych” filmów o tematyce gangsterskiej, od sentymentalnych amerykańskich filmów gangsterskich z lat trzydziestych... Film Friedkina to nie tylko zapierająca w piersiach dech „story”, o której zapomni się po opuszczeniu sali kinowej. To wstrząsający dokument, drapieżny reportaż o jednym z problemów wstrząsających posiadami świata zachodniego. Czy Amerykańska Akademia Filmowa, darząc szczerze „Francuskiego łącznika” złotem „Oscarów”, również i ten aspekt miała na uwadze?

(md)



Rys. W. Fuglewicz

Odpowiedzi redakcji

A. W. Pasym. Namalował Pan obrazek przedstawiający ppłk. Ignacego Prądzyńskiego jadącego budować Kanał Augustowski. Czy naprawdę tym szkolnym zadaniem chciał Pan wyrazić własne uczucia i myśli? Postać historyczna może być bohaterem utworu literackiego, ale tylko wtedy, kiedy potrafimy ją ożywić, z podręcznika historii wprowadzić z powrotem w rzeczywistość. Bez tego rzecz zostaje lądscząstka i tak też się stało w tym przypadku.

B. W. Kraków. Bardzo pragnęlibyśmy posiadać taką miarę, która bezbłędnie wykazywałaby wartość wiersza. Niestety, takiej miary nie ma. Nawet wtedy utworu nie kierujemy do druku, widzimy w nim pewne elementy godne uwagi. Rzecz jednak w tym, by przyjęcie utworu nie zależało od dobrej woli redaktora, by wiersz sam się narzucał. Na tym polega poezja i jej siła oddziaływania.

J. J. Kąkol. Wskazaliśmy, opisywać urok przyrody? Owszem, ale nie w sposób banalny i oklepany. Z wiersza nie może wynikać tylko, że las szumi, a strumyk płynie. To już wiemy. Wiemy też, że te prawdy da się ująć w słowa o współbrzmieniach końcówkach. Jeśli tylko tyle autor chciał powiedzieć, nie miał żadnego zamiaru. Prosimy przeczytać na przykład Leśmiana. Oprócz trafnych opisów przyrody jest tam refleksja filozoficzna i ona stanowi treść wiersza o liściach, strumykach i drzewach.

W. G. Włodawa. Istnieje wiele utworów, przy których chciałoby się powiedzieć: „No dobrze, ale...” I aż dziw bierze, że młody człowiek widzi w nich swoją najbliższą prawdę życiową. A zlekceważenie tekstu zlekceważenie człowieka — wydale się autorowi. Przepraszamy, ale to nadmiar odpowiedzialności. Prosimy albo nas od niej uwolnić, albo nie przysyłać bliźszych utworów w charakterze klucza do osobowości.

P. O. Tomaszów Lubelski. Wiemy, że tych kilka słów listu, jaki jest dołączony do pliku wierszy, zawsze — nawet bez świadomości autora — ma na celu spowodowanie słowa zachęty. Wiemy i uznajemy to za zrozumiałe. Chcielibyśmy jednak, żeby wyrażone przez nas życzenie stało się ciałem. Niestety, udało się to jedynie rybakowi, który złapał złotą rybka. Wiece niezależnie od naszej opinii zawsze prosimy sprawę twórczości i jej perspektyw traktować ze swego punktu widzenia. W naszych odpowiedziach nie wydajemy werdyktu. Poddajemy tylko sposobność do refleksji tam, gdzie uważamy, że jest jej za mało.

P. D. Mirze. Nadane teksty świadczą o dość umiejętnym podchwyceniu poetyki Harasymowicza, o którym zresztą wyraża się Pan z uznaniem. Jeśli traktować to jako „wprawkę”, jako „etiudę”, rzecz ma pewne uzasadnienie. Nie wolno jednak swojego światła poetyckiego zamykać w obrębie c.d.u. „lozofii”, ponieważ mimo krótkotrwałych efektów przynosi to stratę w postaci zahamowania rozwoju. Poza tym chyba nie Harasymowicz może być szkołą młodego poety. Ta łatwa malarskość to nie siła wyobraźni, to jej kanjrys. Całkowity brak dyscypliny, który prowadzi do bezprawia. Zresztą Nikifor sam może interesować. Nie może być nauczycielem.

W. P. Lubartów. Ciekawi nas nie tyle materiał nadesłany, co przyszła postać pańskiej twórczości. O obecnej można by powiedzieć, że „nie wykorzystamy” i uznać sprawę za skończoną. Tymczasem w utworach znajdujemy coś, co nad kartką kaže zatrzymać się dłużej, niż wymaga tego samo uchwycenie tekstu, a to już jakaś leżytmacja dla dalszych wysiłków. A zatem czynymy powołania — i nie jest to z naszej strony tylko zwrot okolicznościowy.

Z. G. Lublin. Przyjmujemy to oświadczenie za zbytek skromności. Jeśli jest udany — źle, bo to poza, jeśli jest szczyry — źle, bo nie na tym polega postawa poetycka. Nie żartujemy. W pisaniu wierszy potrzebna jest śmiałość — oczywiście daleka od zadufania we własne siły — śmiałość wymagana jako psychiczny warunek powodzenia, przecież nie tuzinkowego zamiaru. Konieczne jest przekonanie, że „dopiero ja to wyrażę”. Inaczej opada się w epigonizm, albo poprzestaje na niskim poziomie. Niższym od możliwości, bo nie podniesionym ambicją. Najpierw trzeba postępować tak jakby na świecie był tylko jeden poeta, a dopiero później słuchać co na to powie redaktor. I nawet po usłyszeniu z tej postawy nie zrezygnować. Patos, ale znaleźć inny warunek twórczości.

Szyfrogram literacki (nr 2)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce literę odpowiadającą im literę. Pierwsze litery początkowych 11 wyrazów pomocniczych dają inicjał imienia oraz nazwisko poety, którego utworu fragment zawiera rozwiązanie. Czarne kratki pojedynczo oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze

- Kłujący krzew owocowy — 8, 79, 20, 109, 42, 18
- Waga, masa — 1, 46, 38, 80, 44, 13
- Poskromiono ją w komedii Szekspira — 15, 24, 49, 71, 94, 37, 91, 18
- Wykaz, spis, zestawienie danych — 3, 99, 72, 23, 59, 74, 77, 19, 41
- Rakarz, hycel — 50, 102, 14, 76, 80, 34, 53, 62, 7, 69
- Ssak padlinozęrnny — 92, 40, 30, 100, 81
- Wiele namiotów — 22, 83, 12, 67
- Miesięcznik inteligencji katolickiej — 39, 2, 38, 96
- Otrzymuje się z tej okazji prezenty — 6, 56, 104, 64, 87, 54, 28, 52
- Łowosławie — 72, 90, 35, 86, 5, 78, 105, 57, 95, 68
- Szarak — 61, 73, 82, 85, 108
- Nocny odpoczynek — 31, 98, 62
- Przyjaciel człowieka — 33, 53, 55, 29
- Port polski — 11, 97, 32, 47, 84, 48
- Lekkoatletyczna konkurencja — 63, 29, 101, 17
- No. Illada lub Pan Tadeusz — 85, 9, 107, 21, 93, 60, 10
- Pieśń ukraińska — 102, 70, 45, 43, 27
- Biała broń dwusieczna — 4, 100, 20, 65, 51

4	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13			
14		15	16	17	18	19	20		21	22	23	24	25	26	
27			28	29	30		31	32	33	34	35		36	37	
38		39	40	41	42	43	44	45	46		47	48		49	
50	51	52			53	54	55	56	57	58	59	60			
61		62	63	64	65		66	67	68	69	70	71	72	73	
	74	75			76	77	78	79	80	81	82		83	84	
85	86	87	88			89	90	91	92	93		94	95	96	97
98	99	100	101	102	103	104	105		106	107	108	109			

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 (20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy 50 książkowe. Rozwiązania krzyżówki z Nr 25. Poziomo: Azerbejdżan, eksperyment, tron, cacko, rzecz, targ, gnu, start, buk, masa, atak, kontrreformacja, pilot, ta, krata, Er marsz, Iła sto, brahma, most parlamentaryzmu, Arab, gapa, ule, radio, Nil zb'ór, klika, lyska, orka, Praksyteles, ekstradycja. Pionowo: zorza, ranga, esendo, dekret, asesor, karter, preria, rozboj,

Matka, norma, Staff, Melpomena, styl, toża, katarakta, ketcup, nadmiar, Euterpe, monitor, arkebuz, ar, rofa, smarkołyk, osiemset, atu, Azja, Aleksey, Lidice, morale, Nadir, sonata, robor, burak, glony pokój. Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26 bony książkowe w wys. 40 zł każdy wylosowali: Krystyna Makuch, Kraśnik, ul. Harcerska 2/8 Janusz Siarkiewicz, Gońcycze, pow. Garwolin, Włodzimierz Kaleniak, Radzyń Podlaski, ul. Warszawska 58 Lidia Zawrzykraj, Warszawa, ul. Czesława Tańskiego 5/4.

listy do kamery

OBYCZAJOWE „BILETY”

7 stycznia w lubelskim autobusie linii „10”, po godzinie dziesiątej, w okolicach Alei Racławickich byłam świadkiem przykrego incydentu, w którym uczestniczyła młoda kobieta i kontrolerka MPK. Oczywiście, rzecz dotyczyła ważności biletu i zakończyła się wymierneniem mandatu, aczkolwiek, moim zdaniem, podejrzana osoba chyba na to nie zasługiwała. Jak się bowiem okazało, wróciła ona po feriach świątecznych do Lublina, lecz w automacie skasowała bilet z miasta, z którego przyjechała. Zapłaciła za niego tyle, co zapłaciłaby w Lublinie, nikogo nie chciała oszukać, omyliła się po prostu. Jej wyjaśnienia, bardzo zresztą spokojne i kulturalne, nie wywarły żadnego wrażenia na kontrolerce, która czym prędzej zainkasowała mandat. Moim zdaniem w takich przypadkach, kiedy wyraźnie widać że nie zachodzi podejrzenie wyłudzenia, należy łagodnie, po ludzku, traktować delikwentów, sprzyjając np. bileci właściwy. Nie utrudniamy sobie życia!

Krystyna Kamińska
Lublin

DUSZNO W KLINICE

Szpital kliniczny AM w Lublinie przy ul. Jacewskiego to imponujący budynek, ale trudno powiedzieć, żeby w parze z pierwszym wrażeniem stała jego funkcjonalność. Niektóre jego skrzydła są tak połączone ze sobą, że wymagają męczącego błędzenia po piętrach, które tylko ludzi znających topografię szpitala doprowadzają do celu. Gorzej z tymi, którzy odwiedzają chorych, lub przyszli coś zalać. Jest to poza tym budynek tyle wielki, co źle wentylowany. Tam jest wszędzie duszno: w salach, gdzie leżą chorzy, w profesorskich gabinetach, w po-

kojach pielęgnarek, w biurach i na korytarzach. Ani nie sprzyja to leczeniu, ani nie wpływa na polepszenie samopoczucia personelu. Chorzy wylegują się więc często na koldrach, rozpinają piżamy, różnymi sposobami łapią chłodniejsze powietrze. Może nawet przeziębają się. Niestety, podobno nie można na to poradzić, bo woda systemu wentylacyjnego jest głęboko ukryta i integralnie wiąże się z murami obiektu. Ale czy nie istnieją jakieś inne sposoby rozwiązania problemu sensownego przepływu powietrza przez szpital?

Marian Kowalski
Puławy

PRASA ROLNICZA

Mieszkam na wsi i wiem, że rolnicy narzekają na nadmiar prasy fachowej. Prąd, mamy dzięki Bogu kilka tytułów, np. „Pion”, „Przysposobienia rolnicze”, „Nowe rolnictwo”, „Agrochemia”, „Ochrona roślin”, „Przeгляд hodowlany”, „Gospodarski chów zwierząt”, na i nasz „Rolnik lubelski”. Rolnicy mówią, że ten ostatni w zupełności im wystarcza, a reszta to są rzeczy bardzo oklepane. Bardziej liberalni twierdzą, że jeżeli jest „Przysposobienie rolnicze”, to po co wychodzi „Nowe rolnictwo”, lub jak jest „Przeгляд hodowlany”, to po co istnieje „Gospodarski chów zwierząt”? Przeglądając te pisma dumę czuje na widok tytułów naukowców, publikujących się na ich łamach. Jednocześnie żal mi serca ścisła, albowiem całe zastępy inżynierów, magistrów, doktorów muszą ścisnąć się w tych zaledwie kilku tytułach. Ponieważ obecnie gospodarstwa rolne nastawiają się na specjalizację, pisma fachowe trzeba by dostosować do każdej z praktykowanych specjalizacji. Zamiast jednego „Przeгляdu hodowlanego” można by wprowadzić podział na: „Trzodę chlewną”, „Bydło”, „Owe”, „Krowiki” itd. Wówczas każdy z naukowców będzie mógł wypowiedzieć się swobodnie, bez ścisła... Poza tym każdy ze specjalistów-praktyków znajdzie szybciej dla siebie mądrą radę, bo w obecnym chaosie i nawale mądrych informacji najsmardziejzy człowiek, jeśli się w nie zagłębi, zgłupieje...

H. Jahor
Wyryki

ZAMROŻONA SPRAWA LUDOWISKA

Jestem człowiekiem około pięćdziesiątki, lecz wzorem ojca, dziadka i syna lubię pojeździć na tyżwach. Niestety, w Lublinie jest to prawie niemożliwe, ponieważ wieżozół Lodowisk mieści się przy szkołach, na specyficznym, opianowanym przez młodzież terenie. Jedyne w gruncie rzeczy publiczne lodowisko lubelskie, czynne bez przerwy przez cały dzień, na którym swobodnie spotykają się różne generacje, mieściło się przy Domu Technika i zostało już dawno zlikwidowane. W dawnych czasach nikogo nie śmieszył widok dorosłego człowieka, holendrującego po tafli, dziś, mimo że demokracja, jest inaczej. Prasa codzienna i takie czasopisma, jak „Żyjmy Dłużej”, zachęcają starszych ludzi do uprawiania sportu, lecz na tym się kończy, bo dla faktycznych amatorów nie ma urządzeń sportowych, przede wszystkim zaś nie ma przychylnego klimatu społecznego. Swego czasu usiłowałem uprawiać ranną przebieżkę po alejach osiedlowych, ale rychło zrezygnowałem z tej przyjemności, nie mogąc znieść ironicznych uśmiezków starszych i uszczypliwych uwag młodzieży. W rezultacie powiększył mi się brzuch, oddech stał się krótszy, a myśli całkiem ponure. Śmieszne? Być może.

Aleksander Blomberg
Lublin

„SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ”

Czytelników, którzy zainteresowani są powieścią „Smak miłości i łez”, bardzo proszę o przysłanie mi pierwszego i drugiego odcinka II części powieści. Oprócz wymienionych posiadam wszystkie odcinki, które w zamian mogę przesłać.

Alicja Adameczyk
24-224 Borzechów
pow. bełżycki

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikołaj (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Dębecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek. Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł półrocznie 39 zł kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur: RSW Prasa — Książka — Ruch. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-180024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unieka 4, Zam. 99. 11.1.74. E-4.

Numer łamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurendy.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35. Nr indeksu 20-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Wydawnictwo Lubelskie informuje, że w metryczce książki G. Pauser-Klonowskiej „Polska — Jego miłość” omyłkowo wydrukowano, że jest to wydanie II. Przepraszamy Czytelników i Autora za ten błąd i wyjaśniamy, że jest to wydanie I.

SPROSTOWANIE WL

Jerzy Leszczyński

FRASZKI

CZUŁY NA TYTUŁY

— Kolego! —
kole go.

TERMINY

Dla lepszego jutra nie pora
dziś dopiero krytykować
wczoraj.

WYRAZ UZNANIA

Osobistość — to ważne
słowo;
zastępuje nawet o s o b o w o ś ć.

SZTUKA NIEWDZIĘCZNOŚCI

Pierwszy przedmiot w stylu
nowym
jest przedmiotem
nie stylowym.

OSIOŁ SKOŃCZONY

Słyszac, że jest
skończonym
osłem, biedaczyna
zastanawia się: — Czyżbym
mędrcom być zaczynał?

NA SKUTEK decyzji jednego z wydziałów Urzędu Miejskiego w Lublinie w restauracji „Nad Bystrzycą” nie sprzedaje się poza piwem innych alkoholi. Dziwne jednak, że spotyka się tu obecnie wcale nie mniej pijanych konsumentów niż dawniej. Tajemnica tego zjawiska jest bardzo prosta: naprzeciwko wspomnianego zakładu zbiorowego żywienia znajdują się „Delikatesy”. Cóż prostszego, jak wyskoczyć tam na moment, zaopatrzyć się w półlitrową butelkę i później — w miarę dyskretnie — wódkę wymieszać z piwem. Nawet taniej!

I tak decyzja decyzją, a życie życiem. Są u nas ludzie, którzy sądzą, że jednym pociągnięciem pióra zdołają zwalczyć alkoholizm, że jeśli się zmniejszy liczbę sklepów sprzedających trunki, wówczas niejako automatycznie spadnie spożycie. W Jugosławii w każdym sklepie spożywczym można nabyć koniak czy śliwovicę. Pół litra śliwovicę kosztuje ok. 10 dinarów, a dobre buty — ponad 200 dinarów. Za 30 dinarów, no, najwyżej 40, każdy, jeśli zechce, kupi liter doskonałego koniaku. I co? Izby wytrzeźwień pękają w szwach? Co drugi człowiek leży pokotem na ulicy? Owszem, widziałem raz pijanego. Śpiewał „Góralu czy ci żal”. Najczystsza polszczyzna. Śpiewał zresztą bardzo krótko, bo zaraz podjechał milicyjny samochodek. Nie wiem, czy odwieźli go nad polską czy nad węgierską granicę, czy też przetransportowali do muzeum w charakterze eksponatu...

W Lublinie przed ostatnimi świętami nie było wielkich kolejek w stoiskach z wędlinami. Ale takich kolejek, jakie ciągnęły się przed sklepami monopolowymi, długo chyba nie zobaczymy. Przy okazji okazało się, że wódki też może zabraknąć, na półkach nie zostały się nawet likiery.

A o czym mówił ostatni Rocznik Statystyczny 1973? Porównajmy spożycie alkoholu w Polsce i w Jugosławii. U nas rocznie na jednego mieszkańca przypada 1 litrów (w przeliczeniu) alkoholu o mocy 90

prócentów. Jestem jak najbardziej tym, aby piwo wypierało wódkę, abyśmy pili więcej wina niż piłyśmy. Aby to jednak mogło nastąpić, trzeba spełnić podstawowy warunek: trzeba spełnić naszemu piwu czy winu jakąś naszą przysługę od jakości nie może być gorsza od jakości wódki. A co się dzieje? Mamy polskie „Jot 23”, czyli sikacz po 23 złote z etykietką „Chetniskie”, „Bychawskie” i jak im tam jeszcze. Pełno tego płynu niemal w każdym sklepie spożywczym. Można wypić butelkę, dwie, a następnego dnia mieć kaca-giganta.

A nasze piwo „Trybunalskie”? Do „Zywieckiego” mu tak daleko, jak z Lublina do Zywca.

Nie bez znaczenia, jest klimat, w jakim pije się piwo czy wino. Przed kawiarnią „Ewa” zrobiono „wybieg”. Jeśli tak ma wyglądać piwiarnia, to ja jestem szlachetnie obojętny, nie muszę nawet daleko jechać, aby zobaczyć, jak zrobić piwiarnię z prawdziwego zdarzenia. Wystarczy odwiedzić Słupsk.

Teraz jeden podpis urzędnika przekształcił w piwiarnię restaurację „Nad Bystrzycą”. Te same stoiki blatem szklanym kryte, te same gołe ściany, te same łamiące się krzesła.

I ta sama wódka, tylko pita już w ukryciu, a ponieważ często zmieniała się w piwem — jeszcze bardziej szkodliwa.

Smacznego!

P. S. Felieton ów napisałem przed decyzją o podniesieniu cen alkoholu. Gdy w jej wyniku spadnie spożycie wódek, będzie to zjawisko, które powitamy z zadowoleniem. W każdym razie jeśli już sam „Jot 23”, czyli wino za 23 złote, będzie kosztować dajmy na to 30 złotych, powinno to pozytywnie odbić się na konsumpcji w sensie jej ograniczenia. A o to przecież chodzi.

MAJ

**minuta
myślenia**

**Bank
starych
powieści**

MAM przyjaciela, z którym przy herbacie przychodzi mi wspominać czas mojej młodości, co zresztą czynię chętnie również bez przyjaciela i bez herbaty. Obiegowe powiedzonko o starych Polakach świadczy, że jest to skłonność powszechna i zrozumiała, czyli nie muszę się bliżej tłumaczyć.

Przynam się też, że z tych wędrowek pamięć przynosi czasem okazy niezupełnie satysfakcjonujące, jak np. konfrontacja fascynującej kiedyś powieści z jej przyjęciem w dzisiejszej lekturze. Nie chcę wymieniać tytułów, obawiam się skupić na sobie gniew już nieżyjących autorów, a także nie należy do rzeczy przyjemnych sprzeniewierzyć się bożyszczom młodości. Ale z tytułami czy bez — ważna jest sama sprawa. Chodzi mi mianowicie o jakąś publiczną możliwość udostępnienia takich konfrontacji przeciw ciekawych, przeciw pozytywnych, przeciw dających spo-

sobność do podniesienia kultury literackiej w rozmiarze indywidualnym. Czy sama „Trędowata” wspomniana „Smakiem miłości i teź” ma spełniać tę rolę na pograniczu dwóch epok?

Ach wydawnictwo „Ignis”, które mi udostępniło Przybyszewskiego, ach osobliwy naoczność, intrygujący kształt czcionki (futura?), którą drukowane były powieści Karola Maya, ach poźółki, cienie, jakby bibułkowe, przepojone zapachem starego kufra karty czytanych kiedyś „Potopu”. To oczywiście liryka A propozycja? Pomyśleć nad utworzeniem specjalnego punktu bibliotecznego, w którym można by wypożyczać stare powieści. Czy tylko starym samowarom należy się ten serdeczny odruch? Isygnaturkom? I dziadkom do orzechów? Mają one swoje aukcje, niechby coś swego miały i stare książki.

Powiecie, że owszem — wznawia się. Ale wznawia się — całkiem zresztą słusznie — nie wszystkie. Natomiast wiele książek, których obiektywna wartość nie czyni niezbędnym wznawienia, a których subiektywne przyjęcie przeze mnie i przez mojego przyjaciela posiadało swój skutek w rozwoju naszych światopoglądów — utonęło w niepamięci bezpowrotnie. Chyba, że jakimś prywatnymi, ociekającymi z wywożeń i bombardowań egzemplarzami wpływa na powierzoną życie. Ale jakie rzadko i przy-padkowo! A ja chcę czytać! Ja muszę czytać! Nie jest zgodne z założeniami polityki kulturalnej zrywanie ciągłości między mną a mną tylko dlatego, że się jakaś pozycja wydawnicza pod jakimś tam uznanym przez kolegium względem „nie sprawdza”. Zresztą ja jej nie chcę otrzymać z Domu Książki. Ja chcę za nią solidnie — wręczonym punktem bibliotecznym — zapłacić. Bo myślę, że księgozbiór takiego punktu będzie się składać z rzadkich pozycji wykupionych od właścicieli, albo złożonych przez nich na zasadzie depozytu, że abonent biblioteczki będzie dość wysoki, że wreszcie

każdy czytelnik będzie musiał przejść jakiś egzamin ze sposobu traktowania książki, egzamin przeprowadzony oczywiście na egzemplarzach dostępnych w handlu państwowym.

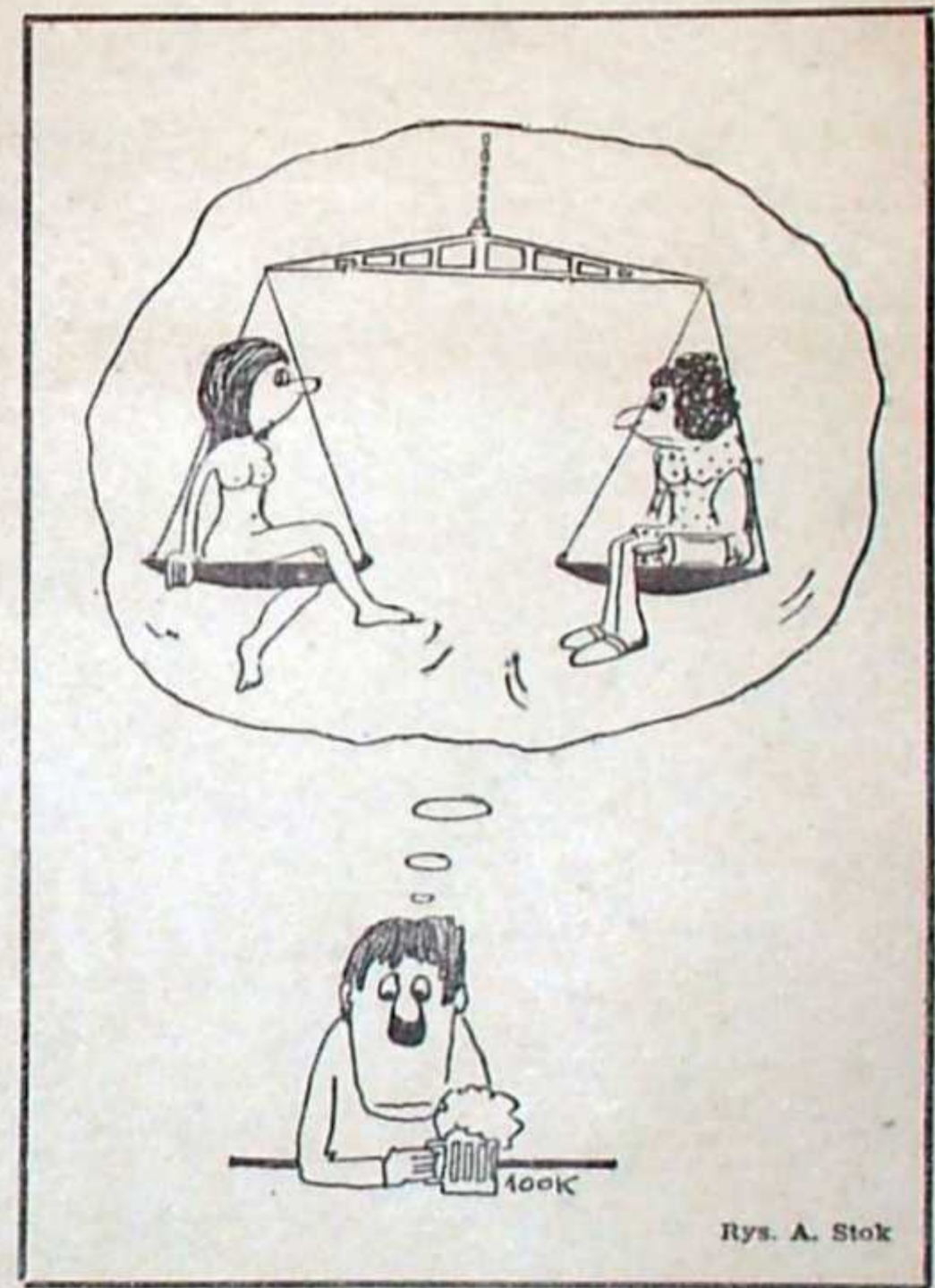
Powiecie znowu — antykwariat. Owszem, ale antykwariat nie jest nastawiony wyłącznie na beletrystykę, ponadto chcąc tam egzemplarz zdobyć, trzeba egzemplarz kupić. Czyli — niezależnie od finansowej strony zagadnienia — rozwiązanie zaledwie połowiczne, bo kupiona książka ugrzeźnie w prywatnym, nie za często przewietrzonym księgozbiorem i dalej nie wejdzie w relacje społeczne. Tyle tylko, że zmieni właściciela. Więc nad jakimś rozwiązaniem warto pomyśleć.

A może coś na zasadzie komisju? Na zasadzie umowy i wymiany między właścicielami z dopuszczeniem hobbystów? Pewnie, że są to egzemplarze sfatygowane, niechętne częstej cyrkulacji na rynku czytelnicy, ale zakładam, że inicjatywa uwzględni wyłącznie bibliofilów, ludzi otaczających wciąż postać białego kruka.

Znowu powiecie, że wydziwiam. Przepraszam bardzo, jeśli mają swoje uzasadnienie różne dyskoteki, studyjne kluby filmowe, a nawet restauracje ze staropolskimi daniami, to czemu wyjątek ma stanowić strawa duchowa, która może już nie syci, ale której smak ze względu na pamięć jej dawnego znaczenia warto zachować i od czasu do czasu odświeżyć? Ot, taki kuszyceczek rzadko już przyrządzanej defenitówki.

Tylko zrealizowana po półwieczu „wizyta starszej pani” narobiła spustoszenia w miasteczku. Wizyta starej książki na pewno pomoże. Choćby do tego, aby lepiej smakowała herbata z modnego na nowo samowaru.

Ijon



Rys. A. Stok

MARTINA WSZYTKOWA

SMIAK
MIŁOŚCI I ŁEZ

Mariusz myślał o zemście. Jego ukochana, Basia, okazała się fałszywą dziewczyną. Przekonał się o tym, kiedy Krzysztof, chcąc mu otworzyć oczy, zatelefonował do niej w jego obecności. Basia, sądząc, że mówi tylko do Krzysztofa, nie ukrywała swoich myśli. „Pragnę cię bardzo” — brzmiały jej słowa. Nasza powieść, drukowana w autonomicznej rubryce „Poście Restan-te” toczy się dalej. A ściślej — akcja się toczy!

(33)

Mariusz wiedział, że dzisiaj nic nie wymyśli. Nie mógł wysiedzieć w dusznej sali restauracyjnej. W głowie czuł straszny pustkę. To, o czym mówił Krzysztof, już do niego nie dołączało. Chciał być sam, sam ze swoim bólem ogromnym. „Za co mnie tak skrzywdziła? Za co?” — pytał sam siebie i nie znajdował odpowiedzi.

Krzysztof skinął na kelnera i sam uregulował rachunek. Mariusz machinalnie sięgnął do kieszeni, ale Krzysztof energicznym ruchem odsunął portfel.

— Dzisiaj ja płacę — powiedział. — Jeszcze będzie okazja, abyś się zrewanżował...

Mariusz usnął dopiero nad ranem. Po raz pierwszy spał tak spokojnie.

— Co ci się stało? Nie jesteś chory? — zapytała Zuzanna, gdy przez moment zostali sami w pokoju.

— Nie, a dlaczego pytasz?

— Tak blade wyglądasz. To wszystko musi cię wiele zdrowia kosztować. Ale, ale... Zapomniałam: Basia do ciebie dzwoniła!

— Czego chciała?

— Tego już mi nie mówila. Za wiele wymagała. Zresztą, gdy mnie tylko rozpoznała po głosie, szybko odłożyła słuchawkę.

— A niech ją...

— Coś zaszło między wami? Widziałeś się z nią po naszym rozstaniu? — Serce poczęło bić jej mocniej.

— Nie widziałem się i nie rozmawiałem z nią. Daj mi spokój. — Mariusz wypowiedział te słowa gwałtownie i już po chwili, gdy usłyszał spłoszone oczy Zuzanny, zatował swego unięczenia. Ale dziewczyna nie miała wcale zamiaru się obrazić.

— Wiesz, był kierownik i mówił, że dzisiaj wieczorem powinniśmy wyjechać do Szczecina.

— Już dzisiaj?

— Martwisz się? Bo ja wcale. Szczecin to piękne miasto.

— Ile dni mamy tam być?

— Wypisali nam delegację na dwa. Ciekawa jestem, czy i tym razem panna Barbara będzie nam towarzyszyć?

— Przesłań o niej mówić, przestań! — Mariusz trzymał wolaśnie w rękę zeszyt i teraz z całej siły wyrzucił nim o blat biurka.

Zuzanna zamilkła. Usiadła pod oknem i czekała, kiedy Mariusz weźmie do ręki słuchawkę i wykręci wiadomy numer. Ale dzisiaj Mariusz do Barbary nie zatelefonował. Ona też się nie odezwiała.

Pociąg monotonnie stuknął o szyny. W przedziale paliło się kilka fioletowych światł. W kącie drzemał ktoś. Był bardzo zmęczony. Z profilu przypominał nieco księdza Mariusza. Zuzanna siedziała obok Mariusza, a ten porządkując na księdze, myślał, że już dawno nie był u tego, którego jego matka darzyła taką miłością. Zaprzęgnął pojechać na plebanię, zwolnić się ze wszystkiego, ale zdał sobie sprawę, jak trudno byłoby mu mówić o tym, co go spotkało. Utracił wiarę w ludzi. Bo jeśli osoba, którą tak się kocha, może zrobić najgorszą krzywdę, to czego wymagać od innych?

Zuzanna oparła głowę na jego ramieniu. Nie odsunął jej, ale nagle — a przyszło to samo — przygarbił do siebie. Poczuł drżenie jej ciała. Przywarła ustami do jego ucha (lewego) i zaczęła szeptać:

— Mariusz, Mariusz, co ty ze mną zrobił? Chciałabym, aby ta podróż nigdy się nie skończyła. Gdy jestem z tobą, czuję się taka bezpieczna. Boże, jak bardzo cię kocham! Tak bym chciała posiadać cię na własność. Był zawsze razem, niech można byłoby zwolnić się ze wszystkiego. Ty jesteś taki dobry i taki nieszczytny. Co ja bym dała, aby tej Basi nie było na świecie.

— Zuzanno, co ty mówisz!

— No nie, nie bój się, nie mam zamiaru jej zamordować. Ale przecież mogła się nie urodzić, mogła być nie poznana. A po co ja cię poznana? Musiałeś przyjąć u nas pracować? Mamo jest innych zakładów? — I po chwili milczenia: — Och, jak dobrze, że przyszłaś właśnie do nas. Nigdy nie spotkałabym cię na swojej drodze. Bo ja wierzę, że można prawdziwie miłość musi zwyciężyć.

Mariusz który wcale prawie nie spał poprzedniej nocy, z trudem walcząc z powiekami, ciążę mu jak ołów. Zuzanna zorientowała się, że jest szczególnie zmęczony i zaproponowała, że sama usiadzie przy oknie, a Mariusz położy się na ławce i oprze głowę o jej kolana. Zwrócił się z wdzięcznością. Ale fala krwi uderzyła mu do głowy, gdy się lekko obrócił i jego usta dotknęły nagłego kolana dziewczyny...

(dcn)